



Zygmunt  
Zeydler-Zborowski

# GORYL Z WOŁOMINA



PIERWSZE WYDANIE KSIĄŻKOWE

Zygmunt ZeydlerZborowski

GORYL Z WOŁOMINA

## ROZDZIAŁ I

Wypił ostatni łyk kawy, zapalił papierosa i spojrzał na zegarek. Spóźniała się. Tego

bardzo nie lubił. Musi ją nauczyć bezwzględnej punktualności. Liczenie się z każdą minutą to

nieodzowny warunek powodzenia we wszystkich życiowych sprawach. Pod tym względem

był do przesady pedantyczny.

Przechodzące kelnerki przyglądały mu się z dużym zainteresowaniem. I nie tylko

kelnerki. Siedzące przy sąsiednich stolikach dziewczyny, młode i te już nie pierwszej

młodości, obdarzały go pełnymi zachęty

spojrzeniami i dyskretnymi uśmiechami. W pełni  
na

to zasługiwał. Był rzeczywiście bardzo  
atrakcyjnym mężczyzną. Wysoki, świetnie

zbudowany, twarz pociągła, śniada, o regularnych,  
wyrazistych rysach zdradzała mocny

charakter i zdecydowaną postawę wobec życia.  
Oczy duże, ciemne kontrastowały efektownie

z jasnoblond falującą czupryną.

Wreszcie przyszła. Już w wejściu spostrzegł jej  
zgrabną sylwetkę. Przesunęła się

między stolikami i lekko zadyszana usiadła.

Bez słowa postukał palcem w tarczę zegarka.

Uśmiechnęła się przepaszająco.

- Spóźniłam się. Wiem. Błagam o przebaczenie.

To nie moja wina. Ten stary ramol

tak mnie zanudzał, że...Jaki znowu stary ramol? -  
spytał, unosząc brwi.

- Taki jeden. Nie znasz go. Koniecznie chciał,  
żebym z nim szła do łóżka. Dawał mi

dwieście dolarów, potem nawet trzysta.

- I co?

Wzruszyła ramionami.

- I nic. Nie poszłam z nim oczywiście. Teraz ja  
tylko z tobą, tylko z tobą. Z tamtym

skończyłam raz na zawsze. Nie chcę znać innych  
mężczyzn.

Uśmiechnął się.

- Czy aby na pewno? - Mówił poprawnie po  
polsku z ledwo dostrzegalnym

cudzoziemskim akcentem.

Mocno uścisnęła jego dłoń.

- Możesz mi wierzyć, Haroldzie, możesz mi wierzyć. Jesteś mężczyzną mojego życia.

O takim mężczyźnie zawsze marzyłam.

Skrzywił się nieznacznie. Nie lubił egzaltacji. Te wyznania działały mu na nerwy.

- No więc jak? Zdecydowałaś się? - spytał.  
Nerwowym ruchem odgarnęła z czoła

jasne włosy.

- To byłby bardzo poważny krok w moim życiu - powiedziała i wyjęła z torebki

papierosy. - Muszę się zastanowić, muszę się poradzić...

- Z kim masz się poradzić? Zrobiła niewyraźną

minę.

- No... Boja wiem... Mam przecież jakąś tam rodzinę...

- Mówiłaś, że nie utrzymujesz z rodziną żadnych stosunków.

- To raczej oni nie chcą mieć ze mną nic wspólnego. Poruszył się niecierpliwie.

- No więc... o co właściwie chodzi? A zresztą, rób, jak uważasz. Ja ci proponuję, że

zrobię z ciebie gwiazdę filmową, a ty się zastanawiasz, czy nie lepiej zostać w Warszawie i

puszczać się za dolary z cudzoziemcami. Spojrzała na niego z wyrzutem.

- Nie mów tak. Proszę. Powiedziałam ci przecież, że z tamtym życiem zerwałam raz

na zawsze, że tylko ty się liczysz.

- No, więc?

Znowu uścisnęła jego dłoń.

- Masz rację. Nie potrzebuję się z nikim naradzać. Jestem właściwie zupełnie sama.

Nic nie mam do stracenia, a ty otwierasz przede mną wspaniałą przyszłość. Byłam głupia, że wahałam się choć przez chwilę. Jadę z tobą, Haroldzie.

Przesunął dłonią po jej włosach koloru dojrzałego zboża.

- Nareszcie mądra decyzja. Posłuchaj mnie, Izo. Wolałbym, żebyś nie rozpowiadała na

prawo i na lewo o swoich planach, o naszych planach. Nie chciałbym mieć na karku tłumy

dziewczyn, które chciałyby mnie przekonać o swoich kwalifikacjach na gwiazdę filmową.

Lepiej załatwmy to wszystko cicho i bez rozgłosu.  
Nie chcę reklamy.

Skinęła głową.

- Rozumiem. Możesz liczyć na moją dyskrecję. Ale z najbliższymi przyjaciółkami

będę musiała się pożegnać. Zresztą coś już im napomknęłam.

- Co?

- Że poznałam wspaniałego mężczyznę i że wybieram się z nim na koniec świata. Nie

mogłam się nie pochwalić. Chcę, żeby mi zazdrościły.

- Ale nie mów im nic o tych projektach filmowych.- Nie pisnę ani słowa. Przyrzekam.

Wierzchem dłoni przesunął po gładko wygolonej twarzy.



- I jeszcze jedno... Czy uprawiasz jakieś sporty?

- Oczywiście. Pływam, wiosłuję, gram w tenisa, jeżdżę na nartach.

- To dobrze, to bardzo dobrze. A konna jazda?

- Raz siedziałam na koniu, spadłam i na tym się skończyło.

- Dobrze by było, żebyś wzięła kilka lekcji konnej jazdy. W karierze filmowej to ci się

bardzo może przydać.

Zasępiła się.

- Do tego potrzebny jest specjalny strój.

- O to się nie martw. Już ja się tym zajmę. Obstalujemy ci wspaniałe bryczesy u

najlepszego krawca.

- A buty?

- Buty oczywiście także u najlepszego szewca.  
Roześmieli się.

Po chwili spojrzął na zegarek.

- Spieszysz się? - spytała.

- Trochę. Mam jeszcze parę spraw do załatwienia.  
A ty jak najprędzej złóż podanie o

paszport. Te formalności zazwyczaj dość długo  
trwają. Potrzebna będzie oczywiście jeszcze

wiza amerykańska. To wszystko zajmie trochę  
czasu. A ja muszę już wracać do Chicago.

Czekają na mnie.

- Zaraz, jutro z samego rana idę do biura  
paszportowego - powiedziała z ożywieniem.

Nowe życie zaczynało nabierać realnych

kształtów. To już nie były marzenia. To

rzeczywistość, wspaniała rzeczywistość. Skinął na kelnerkę i zapłacił, zostawiając suty

napiwek. Był snobem. Przy każdej okazji starał się zademonstrować swój gest.

- No... To teraz się pożegnamy.

- Mieliśmy razem pójść na obiad - powiedziała cicho.

- Niestety to niemożliwe. Mam coś pilnego do załatwienia. - Wyjął z portfela banknot

dziesięciodolarowy i podał go dziewczynie. - Idź tu na róg, do baru, coś zjeść. Zadzwoń do

ciebie wieczorem. Może się spotkamy.

- Bardzo bym chciała.

Była głodna. Nie miało jednak sensu zmieniać

dolary po oficjalnym kursie, a nie czuła

się na siłach, żeby teraz szukać cinkciarzy. Zresztą to nie było potrzebne. Miała jeszcze trochę

złotówek w torebce. Tak jak jej poradził Harold, poszła do baru, usiadła przy małym stoliku i

z roztargnieniem zamówiła coś z karty. Nie zwracała najmniejszej uwagi na zaczepne

spojrzenia mężczyzn. Tak ją opanowała wizja kariery filmowej, że nie czuła nawet smaku

tego, co jadła. Ciągle jeszcze nie mogła uwierzyć w swoje szczęście. Wszystko to, co się z nią

działo, wydawało jej się tak bardzo nierealne, przypominające jakiś piękny sen. A jednak

Harold był czymś najzupełniej realnym i jego dolary także.

Poprosiła o rachunek, który sprawdziła bardzo

dokładnie.

- Masę pieniędzy - mruknęła do siebie, już bardzo dawno nie regulowała rachunku w

lokalu. Zawsze robił to za nią ktoś inny. Nie interesowały ją ceny.

Zapłaciła, nie zostawiając żadnego napiwku, i wyszła. Dziwnym zbiegiem

okoliczności na postoju taksówek nie było nikogo. Zaczekała chwilę, a następnie wsiadła do

czerwonego nata i kazała się zawieźć na Kruczą.

Jakiś kuzyn Iwony wyjechał służbowo za granicę i wynajął dziewczynom swoje

dwupokojowe mieszkanie. Uzgodnili, że będą płacić w dolarach, we frankach szwajcarskich

albo w zachodnioniemieckich markach. Wszystkie trzy zaliczały się do kategorii walutowych

panienek do towarzystwa, a więc nie było problemu. W większym pokoju mieszkały Iza z

Mają, mniejszy zajmowała Iwona. Zapobiegliwy kuzyn załatwił wszystkie formalności z

administracją oraz z dozorcą, z którym się zaprzyjaźnił, przy pomocy bonów dolarowych.

Obydwie były w domu. Maja, długonoga brunetka o twarzy rafaelowskiej Madonny,

leżała na tapczanie i pochłaniała jakiś kryminał, a Iwona smażyła w kuchni naleśniki, które

miała zamiar przełożyć duszonymi jabłkami. Zamiłowanie do sztuki kulinarnej było zapewne

przyczyną nieznacznego zaokrąglania się jej kształtów, ale ciągle jeszcze była bardzo zgrabna

i atrakcyjna, a jej minimalna nadwaga przyciągała mężczyzn z bliższego i dalszego Wschodu.

Iza weszła promienna i pełna radości życia.

- Zjesz parę naleśników z jabłkami? - spytała Iwona. Iza uśmiechnęła się.

- Zjadłam przed chwilą wspaniały stek w Barze Europejskim, ale jednego naleśnika

mogę zjeść, jak mnie ładnie poprosisz.

- Pewnie byłaś na obiedzie z tym twoim „królewiczem z bajki”.

- Wyobraź sobie, że byłam zupełnie sama.- Ale on ci dał forszę na ten stek. Przyznaj

się. - Jesteś niedyskretna.

Iwona roześmiała się, pokazując przesadnie białe i bardzo równe zęby.

- Na własny rachunek tobyś poszła do baru mlecznego, a nie do Europejskiego. Już ja

dobrze znam ten twój „szeroki” gest.

Maja oderwała oczy od książki i spojrzała na przyjaciółkę.

- Czy w dalszym ciągu uważasz, że ten facet jest taki fantastyczny?

- Wspaniały mężczyzna. Możesz mi wierzyć. A jaki we mnie zakochany. Przy jego

pomocy rozpocznę nowe życie. Obrzydło mi już motanie tych dolarowych klientów. Pojadę z

nim w szeroki świat. Może występować będę w filmie.

Maja roześmiała się.

- O! To on zaczyna cię rwać na gwiazdę filmową. Stary numer. Uważaj, Izuniu, żeby

ten „królewicz z bajki” nie sprzedał cię w szerokim świecie do jakiegoś brazylijskiego albo



argentyńskiego burdelu.

- Co ty pleciesz? - oburzyła się Iza. - To człowiek dużej klasy.

- Handlarze żywym towarem są przeważnie ludźmi „dużej klasy”.

- Ja mu ufam. Dobrze mu z oczu patrzy.

- Niejednemu bandziorowi dobrze z oczu patrzy.

- Dlaczego usiłujesz mnie do niego zrazić? Jesteś zazdrosna?

Maja wzruszyła ramionami.

- Zazdrosna? Oszalałaś? Mówię to wszystko dlatego, że jesteś moją przyjaciółką.

Pragnę cię ostrzec. Pragnę, żebyś trzeźwo spojrzała na te wspaniałe plany. Zastanów się.

Poznaj bliżej tego człowieka.

- Już się zastanowiłam. On jest moją ogromną szansą. Nie mogę przecież z tego nie

skorzystać. Zresztą, tak czy owak, z dotychczasowym życiem skończyłam raz na zawsze.

- To nie będzie takie proste.

- Tak, to nie będzie takie proste - powtórzyła Iwona, która właśnie przyszła z kuchni z gotowymi naleśnikami.

Iza spojrzała to na jedną, to na drugą.

- O co chodzi?

- Zenon wyszedł z pudła - powiedziała Maja. Promienna twarz Izy zgasła nagle i poszarzała. - Już? Przecież dostał...

- Tak. Dostał trzy lata, ale wypuścili go wcześniej

za dobre sprawowanie. Mówi, że w

kiciu taki tłok, że jak tylko mogą, to zwalniają. Był tu dzisiaj rano. Pytał o ciebie.

- Nie chcę mieć z nim nic wspólnego - powiedziała z udaną pewnością siebie Iza.

- Bądź ostrożna - wtrąciła się do rozmowy Iwona, rozkładając na talerzach naleśniki. -

To niebezpieczny facet.

W Izę nagle wstąpiła odwaga.

- Nie bójcie się o mnie. Dam sobie radę. Harold mi pomoże, jak będzie trzeba.

Zadzwieczał dzwonek. Spojrzały po sobie niespokojnie.

- Kto to może być?

- Idź otwórz - powiedziała Maja, wstając z

tapczanu. Wszedł. Wysoki, muskularny,

szeroki w ramionach. Twarz kwadratowa, o wystających kościach policzkowych. Oczy

wąskie, lekko skośne, osadzone blisko szerokiego nosa. Nad niskim czołem czerniły się

krótko przystrzyżone włosy.

- Cześć - głos o basowym brzmieniu, nieco schrypnięty.

Milczały, sterroryzowane już samego obecnością. Podszedł do Izy i klepnął ją w

plecy z taką siłą, że aż się zgięła.

- To tak się wita ukochanego po długiej rozłące? Iza wyprostowała się i energicznie

potrząsnęła głową.

- Daj mi spokój. Rozumiesz? Odczep się ode mnie.

Nie jesteś żadnym moim

ukochanym i nigdy nie byłeś. Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

Zaśmiał się cichym, złym śmiechem.

- Nie chcesz mieć ze mną nic wspólnego, co? Uważaj, ptaszyno, dobrze uważaj.

Wiesz, że ze mną żartów nie ma. Ja się nie znam na żartach. Nie mam poczucia humoru. A ty

mi tutaj nie podskakuj, bo popłyniesz Wisłą do samego Gdańska. A teraz woda zimna.

- Do niczego nie możesz mnie zmusić. Ja z tamtym skończyłam ostatecznie. Mam narzeczonego.

Teraz roześmiał się na cały głos.

- Ha, ha, ha! Masz narzeczonego? Co? Dobry

kawał, bardzo dobry kawał. To już ja

nie jestem twoim narzeczonym?

- Dobrze wiesz, że między nami wszystko skończone - powiedziała stanowczo.

Podszedł bliżej i uderzył ją w twarz.

- Jeszcze nie wszystko między nami skończone. A może byś mi przedstawiła tego

twojego „narzeczonego”. Chętnie bym z nim pogadał. A ty, kotku, wybij sobie te wszystkie

bzdury z głowy, bo to się może dla ciebie bardzo smutno skończyć. Nie ścierpię takich

grymasów.

- Nie jestem twoją niewolnicą.

- A właśnie, że jesteś!

Znowu uderzył ją w twarz i wyszedł, trzasnąwszy drzwiami. Przez chwilę panowało

milczenie. Pierwsza odezwała się Maja.

- Zdaje się, że życie zaczyna ci się komplikować. To nie będzie takie proste. Zenon to

twardy facet.

Iza gniewnie potrząsnęła głową.

- Nie złamie mnie. Nie może mnie zmusić. Nigdy do niego nie wrócę. Zresztą Harold

mi pomoże.

- Jeżeli będzie chciał i jeżeli da sobie radę z Zenonem.

- Jestem pewna, że sobie poradzi. Jest świetnie zbudowany, wysportowany. Tam, w

Chicago, miał na pewno do czynienia z lepszymi

niż Zenon.

Maja westchnęła.

- Tak bym chciała, żeby ci się wszystko dobrze ułożyło. Byłoby najlepiej, żebyś jak

najprędzej wyjechała z tym twoim Haroldem.

- Jak tylko dostanę paszport.

Zenon nie pokazał się więcej. Nad wieczorem zadzwonił Harold. Poszli na kolację do

Grand Hotelu.

Kiedy kelner przyjął zamówienie, Harold dotknął jej dłoni.

- Jesteś jakaś zdenerwowana. Dlaczego? Co się stało? Uśmiechnęła się blado.

- Nic ważnego. Takie tam babskie kłopoty.



- Może mogę ci w czymś pomóc? Zastanawiała się nad tym, czy mu powiedzieć o

Zenonie. Zdecydowała się.- Widzisz... To są jeszcze pozostałości mojego dawnego życia.

Czepia się mnie jeden facet, który uważa, że jestem jego własnością.

- Nie przejmuj się. Jakoś sobie z nim poradzimy.

- To niebezpieczny typ. Łatwo nie zrezygnuje.

- Miałem już do czynienia z niebezpiecznymi typami - uśmiechnął się Harold. - Jedz,

bo ci wystygnie.

Kiedy kelner postawił przed nimi kawę i tort, Iza nagle zbladła gwałtownie.

- Co się stało?

- To on - wyszeptała.

Zenon szedł wolno kołyszającym się krokiem w ich kierunku. W pewnym momencie

zatrzymał się, usiadł przy sąsiednim stoliku i patrzył.

- Nie zwracaj na niego uwagi - powiedział półgłosem Harold. - Pij kawę.

- Chodźmy - poprosiła.

- Jak sobie życzysz. - Skinął na kelnera, który nadbiegł skwapliwie, nie mając

wątpliwości, że ma do czynienia z dolarowym gościem.

- Może masz ochotę przejechać się gdzieś za miasto? - spytał Harold. - Warto czasem

odetchnąć świeżym powietrzem. Mam wóz tutaj za hotelem.

Na parkingu podszedł do nich Zenon. Przymrużył

oczy i mocno zacisnął zęby.

- Odczep się od mojej dziewczyny, pęta - powiedział chrypliwie.

- Czy pan do mnie mówi? - spytał Harold, zdejmując z ramienia ciężką rękę

napastnika.

Zenonowi krew napłynęła do twarzy.

- Do ciebie mówię, baranie. Odczep się od mojej dziewczyny, słyszałeś? - Zdaje mi

się, że pan jest nieuprzejmy - głos Harolda był w dalszym ciągu spokojny, a nawet łagodny.

Zenon stracił cierpliwość.

Harold z błyskawiczną szybkością uniknął druzgoczącego ciosu i w odpowiedzi

ulołował lewą pięść na żołądku przeciwnika, a

prawym sierpem trzasnął w kwadratową

szczękę. Obydwa uderzenia były precyzyjne.  
Zenon runął na wznak, uderzając głową o

kamienie.

Harold przez chwilę masował sfatygowaną dłoń, a  
następnie wziął pobladłą Izę pod

rękę.

- Mój wóz stoi tam - powiedział - chodźmy.

- A co z nim? Wzruszył ramionami.

- A co mnie to obchodzi. Niech się nim zajmie  
pogotowie ratunkowe. Chodź. Nie

traćmy czasu.

Kiedy przypięli pasy bezpieczeństwa, spytał:

- Gdzie chcesz jechać na spacer? Ciągle jeszcze

była oszołomiona.

- Boja wiem. Może do Konstancina?

- Niech będzie Konstancin. Ale musisz mi powiedzieć, jak mam jechać. Nie znam

tych podwarszawskich miejscowości.

Zjechali w dół Belwederską. Dotknął jej ramienia.

- Widzisz, że to nie było takie skomplikowane. -  
Jesteś wspaniała.

Uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Ale po tym, co zaszło, lepiej by było, żebyś nie wracała do swojego mieszkania na

Kruczej. Nie wiadomo, co temu bandziorowi może strzelić do głowy, jak się ocknie. Mam

myśl. Ulokuję cię na razie u mojej siostry, która ma willę w Otrębusach. Tak

będziebezpieczniej. Wobec tego zawracamy i jedziemy do Otrębus. Tylko przedtem będę

musiał na chwilę wpaść na pocztę. Zaczekasz na mnie w wozie.

Zaparkował na Świętokrzyskiej. Szybko wbiegł po schodach i zamówił błyskawiczną

rozmowę z Chicago.

## **ROZDZIAŁ II**

Szymon Grabiecki pozował na szlachciurę z dawno minionej epoki. W zimie nosił

wszelkiego rodzaju półkożuszki przepasane szerokim pasem, w lecie zaś i na jesieni

myśliwskie kurtki, a w razie niepogody jakieś dziwne opończe, peleryny i paltoty w stylu

retro. Futrzane kołpaki, włożone na bakier, nadawały mu wygląd starego zawadiaki. Był

słusznego wzrostu, tęgi, mocno zbudowany.  
Wystarczyło spojrzeć na niego, aby nabrać

pewności, że ten wesoły, trochę rubaszny  
jegomość nie hołduje żadnym odchudzającym,

antycholesterolowym kuracjom. Z zadowoleniem  
klepał się po wydatnym brzuchu i zwykł

mawiać, że nim tłuści schudnie, to chudego diabli  
wezmą. W rozmowie chętnie używał

archaizmów zaczerpniętych zapewne z Trylogii  
Sienkiewicza, która była jego ulubioną i

jedyną lekturą. Z prawdziwym upodobaniem  
wtrącał też co parę zdań „panie dzieju”,

podkręcając dziarskim ruchem sumiastego wąsa.  
Lubił nosić buty z cholewami, w których

nawet nieraz przyjeżdżał do Warszawy, chociaż  
nie było to zbyt wygodne. Mieszkał w

okolicach Wyszkowa, gdzie gospodarował na piętnastu hektarach odziedziczonych po ojcu,

który otrzymał ten kawałek ziemi jako rekompensatę za folwarczek pozostawiony swego

czasu za Bugiem. Pracy było dużo, a najać kogoś do roboty niełatwo. Ale jakoś sobie radził

wspomagany przez żonę, drobną, niezwykle ruchliwą kobietę, oraz córkę, która straciła męża

w katastrofie samochodowej i zdecydowała się gospodarować razem z rodzicami.

Siostrę pan Szymon Grabiecki odwiedzał rzadko, bo chociaż do Wołomina to nie tak

daleko, ale zawsze szkoda mu było czasu na podróże. W dzień powszedni miał tyle roboty, że

nie wiedział, za co się najprzód złapać, a znowu w niedzielę wołał sobie trochę odpocząć,



gazety poczytać, telewizję obejrzeć. Nadeszła jednak taka niedziela, że postanowił spełnić

obowiązek rodzinny. Pożegnał się czule z żoną i córką, tak jakby wybierał się na drugi koniec

świata, usiadł za kierownicą swojej wysłużonej, ale ciągle jeszcze sprawnej syreny i pojechał.

Pani Maria z nadzwyczajną radością powitała brata.

- Szymeczku kochany, jak to dobrze, że przyjechałeś. Nie wyobrażasz sobie nawet,

jak ja się cieszę. Wyobraź sobie, żeś mi się śnił ostatniej nocy. Niechże cię uścisnę.

Kiedy się już wycalowali i wyściskali, jak na kochające się rodzeństwo przystało, pan

Szymon odsapnął i wesoło spojrzął na siostrę.

- Ano przyjechałem, panie dzieju. Cały tydzień już

mi to po głowie chodziło, że trzeba

siostrzyczkę odwiedzić. Pokaż się, jak wyglądasz.  
Jak róża, słowo daję. Zawsze młoda,

zawsze kobita do rzeczy. Aż miło popatrzeć.  
Jeszcze byś się za mąż mogła wydać. Niejeden

by cię z ochotą do ołtarza poprowadził.

- Co też ty wygadujesz, Szymeczku? - obruszyła się  
pani Maria, ale zarumieniła się z

zadowolenia. - Gdzie mi tam do małżeństwa?  
Stara baba jestem. Troje dzieci wychowałam.-

No to i dobrze. Właśnie teraz jesteś swobodna.  
Możesz robić, co ci się podoba. A o starości

mi nie gadaj, bo do tego jeszcze daleko. Niejedna  
młoda dziewczucha nie wytrzymałaby z tobą

konkurencji. Jak mi Bóg miły.

Roześmiała się.

- Pleciesz. Zawsze jesteś taki sam. Zjesz coś? Nie mam nic nadzwyczajnego, ale

kopytkami ze słoniną mogę cię poczęstować. Kawalek mięsa także się znajdzie. Właśnie

miałam zabrać się do szykowania obiadu.

Pan Szymon klepnął się po brzuchu.

- Ano może nie zawadziłoby coś przekąsić. Niech będą i kopytka. Ja nie jestem

grymaśny. Jem, co dają. Dzisiaj takie czasy, że nie ma co wybredzać. Ale nie myśl, Maryniu,

że z pustymi rękami do ciebie przyjechałem. Jest sympatyczna indyczka, są króliczki i

porządne warzywa niepryskane żadnymi świństwami, i jabłuszka, i powidła swojej roboty.

Zaraz wszystko wyładujemy. A gdzież to mój kochany siostrzeniec? Mógłby pomóc.

- Piotruś przyjdzie później - powiedziała pani Maria. - Znajomi zaprosili go na obiad.

Grabiecki uważniej spojrzął na siostrę. - Ano później to później. Obejdziemy się bez

niego. Zeszli na dół i zabrali się do wyładowywania z syrenki artykułów spożywczych.

- Bój się Boga! - wykrzyknęła pani Maria. - Ile żeś ty tego wszystkiego naprzywoził!

- Od przybytku głowa nie boli, panie dzieju - uśmiechnął się Grabiecki. - Co masz

zjeść jutro, zjedz dzisiaj, bo człowiek jutra niepewny. A te jabłka mogą poleżeć. Nie zepsują

się. Indyczka w piórach niechwisi, to skruszeje, a króliki upieczesz i do lodówki. Będziecie

mieli na jakiś czas.

Trzy razy musieli obracać, zanim wszystko odtransportowali do mieszkania. Pan

Szymon aż się zasapał.

- Nie lubię chodzić po schodach, panie dzieju. Po polu, po lesie to mogę i dwadzieścia

kilometrów bez zmęczenia, ale po schodach nie lubię. Zaraz mnie zatyka.

Pani Maria pocałowała brata w policzek.

- Kochany jesteś, Szymeczku. Siadaj. Ja zaraz nakryję do stołu i zjemy taki wczesny

obiad. Mam trochę nalewki na czarnych porzeczkach. Napijesz się?

- A czy ty, Maryniu, sobie przypominasz, żebym ja kiedy odmówił, jak mnie kto

częstuje nalewką na czarnych porzeczkach? Tego jeszcze nie bywało.

Pani Maria żwawo zakrzętnęła się koło obiadu i niebawem siedzieli przy stole,

zajadając gulasz z kopytkami. Nalewki także ubywało w kryształowej karafce.

Po obiedzie pan Szymon, wesoły i zaróżowiony, przeniósł się na fotel i powiedział

sentencjonalnie:

- Nie muszą być żadne frykasy, żeby sobie człowiek uczciwie podjadł. Smakowały mi

te kopytka, a naleweczka palce lizać. A teraz siadaj tu koło mnie na kanapce, Maryniu, i

opowiadaj bratu, co cię gnębi.

Spojrzała na niego zdziwiona.

- Skąd wiesz, że mnie coś gnębi?

- A ty sobie wyobrażasz, że ja tam, na tej wsi do reszty zgłupiałem? - roześmiał się

Grabiecki. - Nie od dzisiaj chyba się znamy i ja zaraz, panie dzieju, zmiarkuję, czy masz

jakiś kłopoty, czy nie masz. Może ci potrzeba trochę gotówki. Mów szczerze. Potrząsnęła głową.

- Nie o pieniądze chodzi. Ostatnio, Bogu dzięki, zarabiam jako tako. Nie są to

oczywiście wielkie rzeczy, ale na skromne utrzymanie wystarczy.

- Więc czym się martwisz?

- Martwię się Piotrem.

- Zbroił coś?

- Wdaje się w bójki. Bije chłopaków. Nie dalej jak wczoraj był u mnie sierżant

Banasik z milicji, bardzo porządny człowiek i życzliwy. Mówił, żebym uważała na syna, bo

jak jeszcze kogoś pobije, to go dadzą na kolegium, a nawet i do sądu sprawa może pójść.

- A kogóż on tak bije i dlaczego?

- Mówi, że go napadają i że musi się bronić.

- No... jak go, panie dzieju, napadają, to chyba że się musi bronić. Nie byłby

mężczyzną.

- Ostatnio podobno dwóch go napadło.

- I z dwoma sobie poradził?

- Odwieźli ich do szpitala.



Pan Szymon z zadowoleniem zatarł ręce.

- Do szpitala, powiadasz? Zuch chłopak, jak mi Bóg miły, zuch chłopak.

Pokręciła głową zafrasowana.

- Widzisz, Szymku, to nie jest zupełnie tak, jak ci się zdaje. Obawiam się, że Piotruś w

ten sposób się wyżywa. Jest zdrow, silny, uprawia różne sporty, nauczył się tych jakichś

boksów i teraz się popisuje. Nie bierze się do żadnej stałej pracy ani się nie uczy. Bardzo się

nim martwię, bardzo. Właśnie chciałam się z tobą naradzić. Miałam zamiar napisać...

- Że się do roboty nie bierze i że się nie uczy to źle  
- przyznał Grabiecki. - Próbowalaś

z nim rozmawiać?- A bo to raz. Co ja się naprosiłam, natłumaczyłam. Wszystko na nic.

- Hm... - pan Szymon szarpnął wąsa i zamyślił się.

- Pije?

- Właśnie, że nie. Wcale nie pije. Nie pije i nie pali.

- Ugania za dziewczuchami?

- Nie za bardzo. Tak od czasu do czasu ma jakąś sympatię, ale to wszystko na krótko.

- No to czym on się właściwie zajmuje? Pani Maria wzruszyła ramionami.

- A bo ja wiem. Tak się obija. Gimnastykuje się. Wali w taki worek, który sobie w

drzwiach powiesił. Czasem dostanie jakąś dorywczą robotę. Zna się trochę na ślusarstwie,

trochę na hydraulice, trochę na elektrotechnice.

Ale porządnie nic robić nie umie. Jest

sprytny, inteligentny, jakby chciał, to na pewno do

czegoś by w życiu doszedł.

- A może by on, panie dzieju, przyszedł do mnie, do roboty. Nauczyłby się

ogrodnictwa, poznałby pracę na roli. Mnie ogromnie pomoc potrzebna.

- To byłoby znakomicie - zapaliła się pani Maria. - Ale obawiam się, że on nie zechce

- dodała wąpiąco.

Pan Szymon klepnął się po kolanie.

- Zobaczymy. Może nabierze ochoty do wiejskiego życia. Porozmawiam z nim, panie

dzieju. Może go namówię.

- Bardzo ci będę wdzięczna, Szymku, bardzo. Pogawędzili jeszcze trochę o dawnych

czasach, powspominali. Wreszcie Grabiecki

zaczął się szykować do drogi.

- Nie zaczekasz na Piotrusia?

- Pan Bóg jego wie, kiedy przyjdzie, może późno. A ja znowu nie chcę się tak tłuc tym

moim gratem po nocy.

- Wypiłeś, Szymeczku. Nie wiem, czy to bezpiecznie, żebyś prowadził wóz -

zaniepokoiała się pani Maria. Roześmiał się serdecznie.

- Bój że się Boga, Maryniu. Co ty wygadujesz? Zupełnie tak jakbyś mnie dzisiaj

pierwszy raz zobaczyła. Po paru kropelkach tej damskiej naleweczki... Owszem, bardzo

smaczna, ale żebym nie mógł prowadzić wozu... Tak się jeszcze, siostrzyczko, nie

zestarzałem. No, bądź zdrowa. O tych projektach Pietrkowi nie wspominaj. Sam mu powiem.

Przyjadę za kilka dni. Może w sobotę. Obiecuję. Trzymajcie się, kochani.

- A ucałuj od nas Stasię i Haneczkę - powiedziała pani Maria, ściskając brata na pożegnanie.

- Ucałuję, ucałuję. Bądź spokojna. Ja do całowania jedyny. Stasię, Hankę wycałuję, a

jak się tam jeszcze przy okazji jaka trafi niebrzydka, to i jej całusa nie poskąpię. Powiem, że

to od ciebie.

Pogroziła mu palcem.

- Oj, Szymek, Szymek. Widzę, że ci ciągle głupstwa chodzą po głowie.

Pośmieli się jeszcze trochę, wreszcie pan Szymon wpakował się nie bez pewnego

wysiłku do swojej za ciasnej na jego wzrost i tuszę syrenki i ruszył w powrotną drogę.

Zaraz na początku tygodnia zaszło coś takiego, że pan Grabecki przyśpieszył swą

zapowiedzianą na sobotę wizytę u siostry i już w czwartek z rannym brzaskiem pojawił się w

Wołominie. Tym razem zastał siostrzeńca, który zajęty był podnoszeniem sztangi. Kiedy

wyładowali z wozu nową porcją wiejskich wiktuałów, pan Szymon klepnął z zadowoleniem

Piotra po plecach.

- Na krzepkiego chłopaka wyrosłeś. Nie ma co mówić. Podobno strasznie rozrabiasz.

- Kto to wujowi mówił?

- A wróbelki mi opowiadały. Takie bestie wścibskie, że nic się przed nimi nie ukryje.

No i jak to jest właściwie z tym biciem?

- Ja nikogo nie zaczepiam, ale jak mnie kto zaczepi, to się bronię. I wtedy uderzę.

Możliwe, że czasem za mocno.

Grabiecki podkręcił węża.

- Za mocno, powiadasz? No cóż... jak byłem młody, to także mi się, panie dzieju,

zdarzyło kogoś niesympatycznego w mordę trzasnąć. Nie będę się wypierał. Ale zawsze

uważałem, żeby człowiekowi krzywdy nie zrobić. Bo to widzisz, Pietrek, u nas krzepa w

kościach to rodzinne. Mój dziadek miał siedemdziesiąt lat, a jeszcze dwieście kilo brał bez

wysiłku na plecy. Twoja matka także bardzo silna kobita od małości, a i twój ojciec był

kawał mocnego chłopca. Masz po kim dziedziczyć. Ale z tym biciem to trzeba uważać, bo

widzisz, jak za mocno uderzysz, to możesz zabić. I wtedy kłopot, panie dzieju.

- Piotruś mi obiecał, że będzie unikał takich awantur - wtrąciła się pani Maria.

- To i dobrze. Zawsze lepiej unikać, dopóki można. Głupstwo zrobić łatwo, a naprawić potem trudno.

Gawędzili sobie wesoło o tym i o owym, a około południa pani Maria poszła do

kuchni, żeby zająć się obiadem. Zostali we dwóch. Pan Szymon, który usadowił się na

wersalce, wskazał miejsce obok siebie i



powiedział:

- Siadaj tu, koło mnie, Pietrek. Mam z tobą do pogadania.

Piotr posłusznie przeniósł się z fotela na wersalkę.

- Widzisz... - mówił dalej Grabiecki, podkreślając węża i zniżając głos. - Chciałbym z

tobą tak trochę dłużej porozmawiać. Mam taką jedną sprawę do omówienia. Zabiorę cię

dzisiaj ze sobą. Powiemy twojej matce, a mojej siostrze, że na parę dni jedziesz do mnie, żeby

się rozejrzeć i zaczerpnąć wiejskiego powietrza. Nie będzie się sprzeciwiać.

- O czym chce wuj ze mną rozmawiać? - spytał podejrzliwie Piotr.

- Tego ci tak na kolanie nie mogę wyłuszczyć. Trzeba spokojnie obgadać, pomyśleć...

Co nagle, to po diable. Dlatego chcę, żebyś ze mną jechał. Wstąpimy gdzie po drodze na małe piwko i wszystko sobie pomalutku omówimy.

Piotr z wyraźnym niedowierzaniem przyglądał się wujowi.

- Bo jeżeli chodzi o to, żeby ze mnie badylarza zrobić, to nic z tego. Szkoda fatygi.

Pan Szymon energicznie zamachał rękami.

- O tym nie ma mowy. Wiem, że ty się do takiej roboty nie nadajesz. Tu chodzi o zupełnie coś innego.

- A o co? Nie może wuj powiedzieć?

- Przecież ci tłumaczę, że na to trzeba więcej czasu. To jest sprawa poufna, panie dzieju.

- Intryguje mnie wuj.

- Ba... Jeszcze bardziej będziesz zaintrygowany, jak się dowiesz w czym rzecz.-

Chociaż słówko wyjaśnienia.

- Ani jednego słówka. Wszystko potem. Na razie gęba na kłódkę i rozmawiamy na

inny temat.

Na obiad był barszcz z kartoflami, pierogi ruskie i kompot.

- Gdybym wiedziała, że przyjedziesz, to bym przyszykowała coś lepszego -

usprawiedliwiała się pani Maria. - Spodziewałam się ciebie dopiero w sobotę.

- Ależ, Maryniu, co też ty mówisz? Widzisz przecież, że zajadam te pierożki, aż mi się

uszy trzęsą. Wyśmienite, delicje, istne delicje.

- Cieszę się, że ci smakuje.

- Widzę, że wuj nie troszczy się o nadwagę -  
uśmiechnął się Piotr.

Pan Szymon machnął ręką.

- Co mi tam nadwaga, panie dzieju. Jak człowiek  
ma apetyt, to znaczy, że zdrowy -

odsunął od siebie pusty talerz, starannie wytarł  
wąsy i wesoło spojrzął na siostrę.

- Wyobraź sobie, Maryniu, że porywam dzisiaj  
twoją pociechę.

- O! - udała zdziwienie. - A cóż to za pomysł?

- Zabieram Pietrka do siebie, do Grabówki.  
Przewietrzy się trochę, przyjrzy się

mojemu gospodarstwu, zapozna się z naszym

wiejskim życiem. Będzie chciał, to posiedzi

trochę dłużej, nie będzie chciał, to zaraz wróci.  
Myślę, że sobie jakoś bez niego poradzisz.

- No pewnie, że sobie poradzę - powiedziała skwapliwie pani Maria. - Niech jedzie.

- A może i ty byś kiedy przyjechała?

- O, o tym to na razie nie ma mowy. Mam tyle roboty, że nie mogę nastarczyć.- Tak te

baby sobie kiecki szyją?

- Wyobraź sobie, że szyją. Narzekają na ciężkie czasy, ale każda chce się elegancko

ubrać.

- Nie mogłabyś sobie wziąć kogoś do pomocy?

- Myślałam już o tym, ale to nie takie proste. Po pierwsze trudno znaleźć kogoś

odpowiedniego, a po drugie to trzeba zaraz ubezpieczalnie opłacić, podatki...

- Oj, te podatki - westchnął pan Szymon. Zaraz po obiedzie Grabiecki zaczął się

zbierać do drogi.

- Spakuj się szybko - powiedział, patrząc wesoło na siostrzeńca. - Zabierz, co ci

trzeba, bo może trochę dłużej będziesz miał chęć posiedzieć, to żebyś nie musiał po każdy

drobiazg wracać do Wołomina.

Pakowanie nie trwało długo. Po upływie pół godziny siedzieli w syrence.

- To nie jedziemy do Wyszkowa? - spytał Piotr, widząc, że skręcają w kierunku

Warszawy.

- Do Wyszkowa potem - odparł pan Szymon. -  
Widzisz, kochasiu, tam mnie wszyscy

znają. Nie moglibyśmy spokojnie pogadać. Zaraz  
ktoś by się do nas przysiadł i głądził tak

trzy po trzy. W Warszawie siądziemy sobie w  
jakiejś kawiarni i spokojnie porozmawiamy.

- Strasznie wuj tajemniczy. Pali mnie ciekawość.

- Niech cię pali. Niedługo się dowiesz, o co  
chodzi. Jechali dalej w milczeniu. Dopiero

na ulicach

Warszawy Grabiński spytał:

- Gdzie byś proponował? Ty tu się pewnie lepiej  
orientujesz.

Piotr wzruszył ramionami.

- Boja wiem. Może pójdziemy do Nowego

Światu, na rogu Świętokrzyskiej. Tam

zwykle nie ma takiego tłoku.

I rzeczywiście. W dużej sali było dosyć pustawo.

Usiedli przy stoliku pod ścianą i

zamówili herbatę.

Kiedy kelnerka postawiła przed nimi szklanki i

odeszła, Piotr niecierpliwie spojrzał na

wuja.

- Więc...?

Pan Szymon roześmiał się.

- W gorącej wodzie jesteś kapany, panie dzieju.

Pilno ci się dowiedzieć w czym rzecz.

No, dobrze... Już cię nie będę dłużej męczył.

Chciałbym ci jeszcze tylko zadać parę pytań.



- Słucham?

- A więc, przede wszystkim, czy umiesz trzymać język za zębami?

- Jak trzeba to umiem. O różne rzeczy można mnie posądzić, ale nie o gadulstwo.

Pan Szymon wypił łyk herbaty i podkreślił wąsa.

- To dobrze, to, panie dzieju, bardzo dobrze. Bo widzisz, Pietrek, sprawa jest

ogromnie dyskrecjonalna. Nikomu nie możesz pisnąć ani słowa, nawet rodzonej matce.

- Jak wuj sobie nie życzy, to nikomu nic nie powiem. Zresztą komu miałbym co

mówić?

- Możesz mi przyrzec, że nie powiesz?

- Przyrzekam.

- Dajesz słowo?

- Daję słowo. Ale może by wreszcie wuj wykrztusił, o co chodzi?

Pan Szymon pochylił się nad stolikiem.

- Jakie ty sporty uprawiałeś? Wiem, że się boksowałeś.

Piotr skinął głową.- Tak. Boks, dżudo, karate, pływanie. Próbowałem grać w tenisa, ale mi to nie szło.

- A konna jazda?

- Jeździłem kiedyś w klubie, w Legii, jeszcze jak do szkoły chodziłem. Podobno mam dobry dosiad.

- Samochód prowadzisz?

- Oczywiście, w wojsku zrobiłem prawo jazdy.

- No, to widzę, że się nadajesz.

- Że się do czego nadaję?

Grabiecki rozejrzał się podejrzliwie dokoła i powiedział, zniżając głos prawie do

szeptu:

- Posłuchaj, Pietrek. Mój serdeczny przyjaciel od wielu lat mieszka w Ameryce, w

Stanach Zjednoczonych. Mniejsza z tym, jak się nazywa. Otóż ten mój przyjaciel ma

pasierbicę. Dziewczyna będzie teraz miała chyba z dziewiętnaście lat. Przywiózł ją do mnie i

prosił, żeby mogła u mnie jakiś czas pobyc. Bo widzisz... jest taka sprawa, że się o nią boi i

nie chce, żeby mieszkała z nim w Chicago.

- Gangster? - spytał rzeczowo Piotr.

- Dajże spokój. Jaki tam gangster? Porządny człowiek. Złote serce. Choć do rany

przyłoż. Prowadzi przedsiębiorstwo transportowe. Ale komuś się tam naraził i boi się o

dziewczynę. Zdaje się, że grozili, że ją zabiją. Rozumiesz?

Piotr pokiwał głową.

- Rozumiem. Ale co ja mam z tym wspólnego? Pan Szymon znowu się rozejrzył,

zupełnie tak, jakby był otoczony gromadą szpiegów.

- Mój przyjaciel koniecznie chce, żeby ktoś pilnował jego córki, ktoś taki, kto w razie

czego potrafi ją obronić. Pomyślałem sobie o tobie.- Czyli innymi słowy wujaszek chciałby,

żebym wystąpił w roli goryla - uśmiechnął się Piotr.

- Zdaje się, że to się teraz tak nazywa - przytaknął pan Szymon. - Jesteś silny,

wysportowany, bystry. Chyba byś się nadał. Tłumaczyłem co prawda mojemu przyjacielowi,

że to niepotrzebne, że u mnie ta mała będzie zupełnie bezpieczna, ale się uparł. Koniecznie

chce, żeby miała ochronę. Co ty na to, Pietrek?

- Boja wiem? Zaskoczył mnie wuj.

- Namysł się. Dostaniesz u mnie wikt, opierunek, czterysta dolarów miesięcznie.

- Czterysta dolarów? W bonach czy w walucie? - Jak będziesz chciał.

Piotr poskrobał się po głowie.

- Śmierdząca sprawa.

- Jaka znowu śmierdząca sprawa? - oburzył się Grabiecki. - Co ty wygadujesz?

Przecież nikt tu za nią z Ameryki nie przyjedzie. To tylko dla spokoju mojego przyjaciela.

Nerwy. Rozumiesz? Nerwy.

- A chociaż ładna ta dziewczyna? - spytał Piotr. - Bo jak ją pokraka to i za tysiąc

dolarów miesięcznie nie będę jej pilnował.

Pan Szymon bystro spojrział na siostrzeńca.

- Pokraka to ona nie jest. Ale żadnych takich... panie dzieju. Rozumiesz, Pietrek?

Żadnych figli. Musisz dać słowo.

- Co wuj sobie wyobraża, że ja na pierwszą lepszą polecę. Mogę dać i dziesięć słów.

- Taka pierwsza lepsza to ona znowu nie jest -  
mruknął pan Szymon bardziej do siebie

aniżeli do siostrzeńca. - No więc jak będzie?  
Zgadzasz się?

- A jak mi wuj radzi? Ja ci radzę, żebyś wziął tę  
robotę. Nie napracujesz się. Zarobisz

sobie parę groszy. Też nie do pogardzenia. Może  
cię potem do Ameryki zaproszą.

- No dobra - zdecydował się Piotr. - Spróbuję.  
Kiedy wyszli z kawiarni i z powrotem

wsiedli do syrenki, Piotr wybuchnął nagle  
niepohamowanym śmiechem.

- Co się stało? Dlaczego ryczysz? - zaniepokoił się  
pan Szymon.

- Bycza historia - nie przestawał śmiać się  
chłopak. - Słowo honoru... bycza historia.

Bo niech wuj sobie wyobrazi. Goryl z Wołomina.  
Ha... ha... ha...!

### **ROZDZIAŁ III**

Oczy niebieskie miały dużo pozornie naiwnego uroku. Bywały jednak momenty, kiedy

ten błękit stawał się ciemny, prawie granatowy i pojawiały się stalowe błyski. Twarz owalna

o regularnych rysach obdarzona była, jak to często bywa u blondynek, dziecięcym

wdziękiem, który znikał w chwilach gwałtowniejszych wzruszeń, ustępując miejsca mocnemu

wyrazowi. Włosy jasne, związane w gruby węzeł, nadawały całej postaci charakter sportowy.

Nogi długie, bardzo zgrabne, sprężyste. Sylwetka dobrze zbudowanej, wysportowanej



dziewczyny.

Swojego nowego opiekuna powitała sakramentalnym:

- Hello, Peter - i mocno, po męsku uścisnęła jego dłoń. - How areyoufjak się masz?

Mówiła poprawnie po polsku, z małymi potknięciami językowymi. Miała trochę

twardy, cudzoziemski akcent i kiedy była speszona albo chciała coś szybko powiedzieć,

wtrącała czasem jakieś angielskie słowo.

Piotr z ogromnym zainteresowaniem obserwował swoją podopieczną. Podobała mu

się. Lubił takie nowoczesne, energiczne dziewczyny, a to, że była Amerykanką, dodawało jej

w jego oczach jeszcze większej atrakcyjności. Co

Chicago to nie Wołomin. Nie było co do

tego chyba żadnej wątpliwości. A może potem zaprosi go kiedyś i pojedzie do Ameryki.- Ty

się nazywasz Peter... Piotr - powiedziała, patrząc mu prosto w oczy. - A moje imię Adelajda,

ale nikt tak do mnie nie mówi. Wszyscy nazywają mnie Ada. Rozumiesz, Piotr? Ada.

Potem już nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Przy stole mówiła dużo,

żartowała, przekomarzała się z wujem Szymonem i z ciotką Stasią. Wprawdzie nie należała

do rodziny, ale od razu po przyjeździe zaproponowała, że będzie do nich mówiła ciociu i

wuju. Oczywiście zgodzili się na to bardzo chętnie.

Kolacja upłynęła w pogodnym, wesołym nastroju.

Pan Szymon sypał anegdotami i

dowcipami jak z rękawa, zapewniając, że jest znanym i cenionym w kraju i za granicą

facecjonistą. Pani Stasia, mrugając filuternie okrągłymi czarnymi oczkami, opowiedziała

jakąś zabawną historię z czasów swojej młodości. Tylko Hanka siedziała milcząca,

zamyślona, rzucając od czasu do czasu w kierunku swojego ciotecznego brata na poły

pytające, na poły niespokojne spojrzenia. Ani jednym słowem nie wtrąciła się do ogólnej

rozmowy.

- Cóżżeś ty dzisiaj taka nadęta? - spytał wreszcie pan Szymon.

- Głowa mnie boli.

- To idź się położyć. Nie musisz się tu z nami męczyć.

Wstała i poszła na górę. Wewnętrzne schody prowadziły na pierwsze piętro. Piotr

odprowadził ją spojrzeniem. Nie lubił Hanki. Nie umiał współczuć. Może był na to za młody,

a może to uczucie w ogóle było dla niego niedostępne. Będąc samemu silnym, zdrowym,

pozbawionym jakichkolwiek kompleksów, nie znosił wokół siebie ludzi chorych,

smutnych, nieszczęśliwych. Wiedział, że to nie jest w porządku, ale nie potrafił się przemóc.

Hanka po śmierci swojego męża, którego bardzo kochała, zamknęła się w sobie i

poświęciła się pracy. Żyła życiem człowieka, który się już niczego nie spodziewa, na nic nie

czeka, do niczego nie dąży. Wykonywała swoją robotę starannie, z pedantyczną dokładnością, wkładała bardzo dużo energii w to, żeby pomóc rodzicom w gospodarce, ale nie było w niej radości, nic ją nie cieszyło.

Pani Stanisława bardzo się córką martwiła i nieraz mówiła do męża:

- Szymeczku, coś by trzeba z Hanią zrobić. Ona nam usycha. Na śmierć się dziewczyna zamartwi.

Pan Szymon w takich razach wzdychał ciężko i wruszał potężnymi ramionami.

- A cóż tu można zrobić, panie dzieju? Najlepiej by ją było za mąż wydać.

- Ona nawet o tym słyszeć nie chce.

- Jakby się znalazł amator, to może by i chciała.  
Ale to trudna sprawa. Z taką

pogrzebową miną nie zainteresuje kobieta  
mężczyzny, oj, nie.

- No to, co będzie?

- A bo ja wiem. Będzie, co Bóg da.

- Nie można wszystkiego zwać na Pana Boga.

- Czego ty właściwie chcesz ode mnie? - zaczynał  
się denerwować pan Szymon. - Nie

mam czasu na to, żeby Hance męża szukać. Chyba  
widzisz, że nie siedzę z założonymi  
rękami.

Tego typu rozmowy powtarzały się co jakiś czas,  
ale nie dawały oczywiście żadnych

konkretnych rezultatów. Hanka w dalszym ciągu

chodziła smętna, pani Stanisława nie

przestawała martwić się o córkę, pan Szymon zaś tak był zaabsorbowany swą pracą, że nie

zwracał uwagi ani na jedną, ani na drugą. Już dawno doszedł do wniosku, że na babskie

zmartwienia nic nie poradzi i nie zwracał sobie tym wszystkim głowy.

Roboty w gospodarstwie było tyle, że musieli ludzi do pomocy najmować, a z tym

było trudno. Młodzi nie chcieli na swoim pracować, a co dopiero na cudzym, choćby i za

dobrą zapłatą. Każdy wolał iść do miasta, do fabryki albo do jakichś warsztatów. Wyrwanie

się ze wsi ciągle jeszcze uważali za awans społeczny. Toteż najczęściej przychodził do

Grabieckich Bolek Walica. Chłop był duży,

barczysty i bardzo silny, ale do miasta się nie

wybierał, bo nie miał odwagi. Ludzie mówili, że coś tam u niego w głowie nie w porządku.

Nie to, żeby był całkiem nienormalny, ale taki jakiś tępawy, nieudany. Przychodził chętnie,

bo chciał parę złotych zarobić, żeby sobie coś eleganckiego z ubrania kupić. Roboty się nie

bał, choćby i ciężkiej. Był młody, silny, nigdy nie odczuwał zmęczenia.

Pan Szymon lubił Bolka, bo chłopak był spokojny, grzeczny i robotny. Może trochę

zbyt powolny, flegmatyczny, ale nie można za wiele wymagać. Zdarzało się, że pocieszał

Walicową, która, w chwilach wolnych od innych zajęć, martwiła się nieudanym potomkiem.

- Niech pani się nie martwi. Wszystko będzie



dobrze. Bolek z tego wyrośnie. Jak

będzie starszy, to i rozumu nabierze.

- liiii... - krzywiła się sceptycznie Walicowa. -  
Gdzie on tam rozumu nabierze. Szkoda

gadać. Jak się kto głupim urodzi, to i głupim  
umrze. Na to nie ma żadnej rady. Kara boska i

tyle. A wszystko przez tąprzekłętą wódkę. Mój  
Józek, Panie, świeć nad jego duszą, wrócił

podpity z jarmarku i zaraz do mnie pod pierzynę. A  
pijanego chłopca nie wolno wpuszczać

pod pierzynę. Tak nam pani doktor tłumaczyła. Ale  
cóż... młoda byłam, głupia,

nieuświadomiona. Chociaż już taka bardzo młoda  
to wtedy nie byłam - zreflektowała się po

chwili.

- Ale za to tamte dzieci ma pani bardzo udane - pocieszał pan Szymon.

Twarz Walicowej rozjaśniała się natychmiast szerokim uśmiechem.

- Ano, co prawda to prawda. Władek jest technikiem budowlanym, dobrze zarabia, ożenił się, mają już dziecko. A Małgosia... wyszła za lekarza. Nie wiem, czy pan słyszał?

- Słyszałem, słyszałem - zapewniał z ożywieniem pan Szymon, pragnąc nie dopuścić

do opowieści o hucznym weselu. - Bardzo ładna kobieta ta pani Małgosia.

- Gdyby nie tamtych dwoje, to by mi chyba przyszło z głodu umrzeć - rozczuliła się

nad sobą Walicowa. - Dobre dzieci. Pomagają starej matce. Z tą rentą, co to ją mam po mężu,

nie dałabym sobie rady.

- Ma pani ładny sad - zauważył pan Szymon. - Z tych jabłuszek także parę złotych

kapnie.

- Sad jest ładny - przyznała, spoglądając w okno. Pan Szymon, będąc człowiekiem

pełnym energii i radości życia, pragnął widzieć wokół siebie wesołe, roześmiane twarze.

Pocieszał też, jak umiał, córkę i starą Walicową, ale nie na wiele się to zdało. Czasem Hanka,

znieczierpliwiona słowami otuchy, odburkiwała niezbyt uprzejmie:- Niech mi ojciec da spokój.

Co było, to było i nie wróci. Na co to całe gadanie? Ja już swoje przeżyłam i niczego się nie

spodziewam, na nic nie czekam. Pracuję, pomagam wam, wiem, że jestem pożyteczna, i to mi

wystarcza.

Pan Szymon łapał się za głowę.

- Bój się Boga, dziewczyno. Co ty mówisz? Jesteś młoda, ładna, zgrabna. Przecież nie

można całe życie chodzić w żałobie. Mało to wdów na świecie, które sobie życie jakoś

ułożyły. Przyznaję, że ciężka to strata, ale musisz się jakoś z tego otrząsnąć. To do niczego

niepodobne, panie dzieju.

- Niech mi ojciec da spokój - powtarzała niezmiennie Hanka i na tym rozmowa się

urywała.

Z jednej strony żałobnica Hanka, z drugiej sąsiadka Walicowa zamartwiająca się

nieustannie swoim głupkowatym Bolkiem. Pan

Szymon oganiał się, jak umiał, od tych

cudzych strapień i byłby może i sam popadł w melancholię, gdyby nie żona, która dzielnie

podtrzymywała go na duchu i dodawała animuszu.

Pani Stasia, drobna, szczupła, ruchliwa, była uosobieniem energii i zaradności.

Robota, jak to mówią, paliła jej się w rękach, a z każdej, najbardziej nawet skomplikowanej

sytuacji umiała znaleźć jakieś wyjście. Posiadała dużo zdrowego rozsądku i trzeźwo patrzyła

na otaczający ją świat i na życie. Z natury była osobą wesołą i miała duże poczucie humoru.

Nigdy nie zapadała na zdrowiu i rzadko pokazywała ludziom twarz chmurną czy nadąsaną.

Tylko kiedy patrzyła na Hanę, było jej smutno i robiła wszystko, żeby choć trochę

rozweselić córkę.

Oboje Grabieccy z dużą radością przyjęli pojawienie się w ich domu młodzieży.

Wprawdzie początkowo pani Stanisława trochę się bała, żeby z powodu tej Amerykanki nie

wyniknęły jakieś przykre komplikacje, ale pan Szymon bardzo prędko ją uspokoił, mówiąc, że

Ameryka daleko i że żaden gangster nie będzie ryzykował podróży do Polski.

- Oni, Stasienko, dobrze tam wiedzą, że z naszą milicją lepiej nie zaczynać, panie

dzieju. Zaraz byśmy ich do jakiegoś solidnego kryminału odstawili. Zresztą, kto tam wie,

gdzie się dziewczyna podziała?

Ada od razu na samym wstępie zdobyła sobie sympatię całego otoczenia. Pogodna,

wesoła, bezpośrednia w obcowaniu z ludźmi, posiadała wrodzony dar nawiązywania nowych

znajomości. Z całą bezstronnością można było powiedzieć, że to jest dziewczyna, która daje

się lubić. Urodziła się i wychowała w mieście. Życie na wsi pasjonowało ją. Mówiła, że od

najmłodszych lat marzyła o tym, żeby mieć własną farmę. Wszędzie jej było pełno, wszędzie

musiała zajrzeć, zobaczyć, o wszystko wypytać. Szybko wciągała się w pracę gospodarską.

Dawała jeść kurom, krowom i królikom. Całymi godzinami przesiadywała w stajni.

Przepadała za końmi i świetnie siedziała w siodle.

Piotr początkowo z pobłażliwym uśmiechem przyglądał się tej całej krzątaniu, ale z

czasem i on zaczął się wciągać w wiejską robotę.

Była w tym oczywiście ogromna zasługa

Ady. Ta pełna życia i temperamentu dziewczyna podobała mu się coraz bardziej.

Któregoś dnia pan Szymon, który był człowiekiem doświadczonym, wziął pod rękę

siostrzeńca i zaprowadził go do inspektów, że to niby ma mu coś pokazać.

- Słuchaj, Pietrek - powiedział, siadając na ławeczce. - Chciałbym, żebyś pamiętał o

tym, że nie sprowadziłem cię tu na żadne flirty. Amory wybij sobie z głowy. Zrozumiałeś?

- Ale co też wuj? - obruszył się Piotr. - Ani mi przez myśl nie przeszło.

Pan Szymon pogroził mu palcem.

- Ty mi tu nie próbuj oczu mydlić. Za młody jesteś na to, a ja za stary. Mnie nie



oszukasz. Oczy mam dobre i widzę, jak ty na tę dziewczynę popatrujesz. Powtarzam: wybij

sobie takie rzeczy z głowy. Dziewczyna została oddana pod moją opiekę i ja za nią

odpowiadam. Zaangażowałem cię tutaj nie w charakterze amanta filmowego. Jak mi nie

przestanieś gałami przewracać, to cię odwiozę do Wołomina i koniec. Na żadne wybryki nie

pozwole.

- Ależ ja naprawdę, wujaszku, nie zabieram się do tej dziewczyny - bronił się słabo

Piotr. - Słowo honoru.

- Przyrzekasz, że się będziesz przyzwoicie zachowywał?

- Przyrzekam. Może być wuj zupełnie spokojny.

- No to i dobrze - odetchnął z pewną ulgą pan Szymon i po chwili dodał ciszej,

podkręcając węża. - Apetyczna szelma jest. To trzeba przyznać.

Na drugi dzień po tej rozmowie Piotr z Adą pojechali konno do lasu. Pan Szymon

jakby zupełnie przypadkowo znalazł się w stajni i dyskretnie pogroził palcem siostrzeńcowi.

Kolorowe liście szeleściły pod końskimi kopytami. Nie było wiatru. Drzewa stały

ciche z resztkami jesiennego przyodziewku. Od czasu do czasu jakiś liść odrywał się z gałęzi

i szybując w powietrzu, sływał łagodnie ku ziemi. Pachniało wilgocią i umierającymi

ziołami. W pewnej chwili Ada wstrzymała konia i zrównała się z Piotrem.

- Cieszę się, że to właśnie ty - powiedziała.  
Spojrzał na nią zdziwiony.

- Nie rozumiem.

- Cieszę się, że to właśnie ty jesteś moim gorylem.

- Dlaczego cię to cieszy?

- Bo jesteś miłym, sympatycznym chłopcem. Nie  
naprzykrzasz mi się z jakimiś

idiotycznymi amatorami. Zachowujesz się bardzo  
poprawnie. Tylko...

Przytrzymał konia, który znowu miał ochotę  
galopować.

- Tylko co? - spytał.

Westchnęła i poklepała swoją klacz po szyi.

- Żal mi cię.

Skrócił wodze tak, że kasztan stanął, potrząsając niecierpliwie łbem.

- Dlaczegoż to mnie żałujesz?

- Bo jesteś zbyt łatwowierny, zbyt prostoliniorny, a to w życiu nie popłaca.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Zwróciła ku niemu twarz, której wyraz uległ nagle niespodziewanej zmianie. Ani

śladu beztroskiego, nieomal dziecinnego uśmiechu. Robiła teraz wrażenie o wiele starszej.

Obrzuciła go chmurnym spojrzeniem.

- Widzisz...

Nie dokończyła. Uderzyła klacz ostrogami i ruszyła cwałem. Dogonił ją bez trudu i

położył rękę na wodzach.

- Zaczekaj. Co cię napadło? Co się stało? O co chodzi?

Znowu jechali stępa.- O co chodzi? - powtórzył. - Zaczęłaś coś mówić. Roześmiała

się, ale to nie był wesoły śmiech.

- Nie zwracaj na mnie uwagi. Czasami tak mnie coś napadnie.

- Co chciałaś powiedzieć? Mów. Potrząsnęła głową.

- Nic, nic... Takie tam głupstwa. Wzruszył ramionami.

- Nie chcesz mówić, to nie. Nie mam zamiaru cię zmuszać. Ale jak się coś zaczyna, to

trzeba kończyć. Chyba że chcesz mnie intrygować.

- To nie w moim stylu. - Więc...?

- Nie przywiązuje do tego takiej wagi. Zmieniamy temat. Czy zauważyłaś, że twoja

kuzynka jest zazdrosna?

- Hanka? Zazdrosna? Chyba żartujesz?

- Wcale nie żartuję.

- A niby o kogo Hanka jest zazdrosna?

- Jak to o kogo? Przecież nie o tego wałacha, na którym siedzisz. O ciebie. Zachnął

się.

- Nie wygłupiaj się. Hanka jest córką mojego wuja. Bliskie pokrewieństwo.

- Bliskie pokrewieństwo wcale nie przeszkadza, że jest w tobie zakochana.

- Co ci też głowy strzeliło?

Spojrzała na niego z szelmowskim uśmiechem.

- Dziwne, że do tej pory tego nie zauważyłeś, albo udajesz, że nie zauważyłeś.

Przyznaję, że to trochę komplikuje sytuację. Mój pobyt u was bardzo jest jej nie na rękę.

Dlatego będę chyba musiała przenieść się gdzie indziej.- Dajże spokój. Coś sobie ubrdalaś.

Ruszyła kłusem.

- Wiem, co mówię - rzuciła przez ramię.

Nie rozmawiali więcej na ten temat. Do domu zajechali w całkowitym milczeniu.

Dopiero w stajni, kiedy rozsiodływali konie, Ada dotknęła ramienia Piotra i powiedziała:

- Polubiłam cię i dlatego radzę, żebyś nie wierzył bezkrytycznie we wszystko to, co

ludzie ci mówią.

Machnął niecierpliwie ręką.

- Daj mi spokój z twoimi tajemniczymi półsłówkami.

- Nie lubisz tajemniczych zagadek?

- Nie lubię, jak mnie ktoś usiłuje w głupi sposób intrygować.

- W głupi sposób intrygować - powtórzyła i roześmiała się.

Wyniosła siodło przed stajnię i ułożyła je na słońcu, żeby czaprak wysechł. Wróciła,

wytarła spoconą klacz wiechciem słomy, a następnie, nie patrząc na Piotra, ruszyła w

kierunku domu, uderzając szpicrutą o cholewy.

- Głupia dziewczucha - mruknął pod nosem. -



Wydaje jej się Bóg wie co.

Ale to, co powiedziała Ada, zaniepokoiło go. Nie chciał tego rodzaju rodzinnych

komplikacji. Wprawdzie już kilkakrotnie zauważył pewne niepokojące reakcje Hanki, nie

chciał jednak dopuścić tego do swojej świadomości, uważając, że to mu się tylko zdaje.

Przy obiedzie wuj Szymon długo i szeroko opowiadał o swoich sprawach i o swoich

kłopotach, nie zważając na to, że jego współbiesiadnicy słuchają go z pewnym

roztargnieniem. Pani Stanisława notowała coś skrupulatnie na kartce papieru i od czasu do

czasu próbowała nawiązać uprzejmościową rozmowę z Adą, o ile wartki potok monologu jej

małżonka na to pozwalał. Piotr raz i drugi rzucił

szybkie spojrzenie w kierunku Hanki.

Siedziała, jak zwykle, sztywna, patrząc w talerz, nie odzywając się do nikogo. „Cholerna

cierpiętница” - pomyślał. „Boże mnie strzeż.”

Kiedyś, jeszcze przed jej małżeństwem,

pocałował ją, niezupełnie tak, jak się całuje kuzynkę, ale był to zupełnie sporadyczny

incydent, niemający żadnych dalszych następstw.

Teraz, nie wiadomo dlaczego, przypomniał

mu się ten pocałunek. W tym momencie, jakby pod wpływem jakiegoś telepatycznego fluidu,

podniosła głowę i spojrzenia ich spotkały się. W oczach Hanki zobaczył coś takiego, co go

napełniło głębokim niepokojem. Nie potrafił zdać sobie sprawy z tego, ale zaczął się bać.

- No, moi kochani - powiedział pan Szymon,

odwiązuje sobie serwetę spod brody. -

Muszę wam uroczyście zakomunikować, że jutro was opuszczam.

- Gdzież to wujaszek się wybiera? - spytał Piotr.

- Do stolicy, panie dzieju, do naszej kochanej Warszawy.

- Każdemu należy się trochę rozrywki. Pan Szymon aż poczerwieniał.

- Jeżeli rozmowy z urzędnikami skarbowymi uważasz za rozrywkę, to ci winszuję.

Nie, moi drodzy. Nie jadę szukać rozrywek. Znowu mi chcą te psiekrwie dowalić domiar. Jak tak dalej pójdzie, to będziem) musieli z torbami w świat ruszyć.

- Eee... - skrzywił się Piotr. - Tak źle nie będzie. Przecież wujaszkowski domiar to nie

pierwszozna.- A nie zapomnij, Szymeczku, zabrać tego, co wiesz - wtrąciła się pani Stasia. -

Jestem pewna, że sobie poradzisz.

- Jak się da, to się zrobi - mruknął pan Szymon i podkręcił węża.

Dzień był pogodny. Październikowe słońce straciło już swój energiczny blask.

Łagodny powiew wiatru strącał z drzew coraz więcej kolorowych liści.

Pan Szymon pośpiesznie uwinął się ze śniadaniem i wyprowadził z garażu swoją

wysłuzoną syrenę.

- A gdzież to Hanka? - spytał. - Chyba już nie śpi.

- Ale skąd - oburzyła się pani Stasia. - Zerwała się o świcie, wzięła koszyk, siadła na

rower i pojechała do lasu szukać grzybów.

- Ho, ho - uśmiechnął się Grabiecki i wcisnął się za kierownicę. - Coś czuję, że się

zanosi na grzybową zupę z łazankami. - Mlasnął językiem i włączył pierwszy bieg.

Piotr i Ada poszli do stajni siodłać konie. Nie rozmawiali i nie przekomarzali się tak

jak zwykle. Po wczorajszym dniu wytworzył się między nimi pewien dystans. Ten swobodny,

bezpośredni nastrój, jaki dotychczas między nimi panował, zniknął.

- Może już niedługo - powiedziała Ada.

- Co niedługo?

- Może już niedługo skończą się te nasze konne spacerki.

Spojrzał zdziwiony.

- Masz zamiar wracać do Stanów? Wydawało mi się, że przyjechałaś tu na dłużej.

Uśmiechnęła się.

- Tobie się w ogóle dużo różnych rzeczy wydaje. Życie nie jest takie proste. Ty jesteś

prostolinijnym, poczciwym chłopakiem. Nie nauczyłeś się jeszcze patrzeć na świat i na ludzi,

którzy nie zawsze są takimi, za jakich chcą uchodzić. Spojrzał na nią chmurnie.

- Przestań.

- Masz rację. Zupełnie niepotrzebnie to wszystko mówię. Nie wiem, co mnie napadło.

W każdym razie będę cię miło wspominała.

- Mówisz tak, jakbyś rzeczywiście lada dzień

miała nas opuścić. Przecież twój

ojczym...

Twarz jej nagle stężała, a oczy pociemniały.

- Dosyć! - powiedziała zmienionym głosem.

- Co ci się stało? - spytał zaskoczony.

- Nic, absolutnie nic. O czym to mówiliśmy?

- O niczym - burknął. - Zachowujesz się jakoś dziwnie. Chwilami robi to na mnie

takie wrażenie, jakbyś się czegoś bała. Możesz być zupełnie spokojna. Potrafię cię obronić.

Roześmiała się niezbyt szczerze. - Jedźmy już.

Szkoda czasu. Zobacz, jaka piękna

pogoda. - Podciągnęła popręg.

- Chciałabyś już wracać do Stanów?

- Oczywiście. Mam dość siedzenia tutaj.

- Nudzisz się?

- A co ty sobie wyobrażasz? Na takim odludziu. Nie jestem przyzwyczajona.

- Chyba w każdej chwili możesz wyjechać. Nikt cię tu siłą nie trzyma.

Machnęła ręką.

- Eee... tam.

Wyprowadzili konie. Ada nie lubiła wsiadać w stajni Wkładała nogę w strzemię, kiedy nadbiegła zadyszana pani Stanisława.

- Złe nowiny, Piotrusiu, bardzo złe nowiny.

- Co się stało?

- Twoją matkę zabrali do szpitala. Podobno serce.



Telefonowali z Wołomina. Właśnie

obierałam kartofle...

- Kto telefonował?

Pani Stanisława wytarła w fartuch ręce. Była trochę zakłopotana.

- Tak mnie to zdenerwowało, że zapomniałam zapytać o nazwisko.

- Mężczyzna? Kobieta?

Pani Stanisława powtórnie wytarła ręce w fartuch.

- Trudno mi powiedzieć. Taki dziwny głos, trochę schrypnięty. Chyba kobieta. Zresztą

źle było słycać.

- To na pewno Kamińska. Ona lubi sobie popić, a jak popije, to dostaje takiej chrypki.

Powiedziała przynajmniej, do którego szpitala mamę zabrali?

- Nie powiedziała.

- Cholerna baba. No... cóż. Muszę jechać. -  
Spojrzał na Adę. - Przykro mi, ale z naszej

dzisiejszej przejażdżki nic nie będzie.

Pośpiesznie skoczyła na siodło.

- Pojadę sama. Zawahał się.

- Wolałbym, żebyś sama nie jechała. Jesteś pod  
moją opieką. Odpowiadam za twoje

bezpieczeństwo.

- Nie wygłupiaj się z tą twoją „opieką”. A cóż mi  
się może stać?

Piotr niezdecydowany spojrzał na panią  
Stanisławę.

- Co ciocia o tym myśli?

- Myślę, że może się przejechać.- No, dobrze.

Spuścił rękę, którą przedtem położył na wodzach klaczy.

Ada z miejsca ruszyła ostrym kłusem, jakby się bała, że ją będą chcieli zatrzymać.

- Tylko nie jedź daleko! - zawołał za nią.

- Nie bój się - odkrzyknęła - do Chicago nie pojedę! - Jakbyś miał dłużej się tam

zatrzymać, to zatelefonuj - powiedziała pani Stanisława.

- Dobrze, ciociu.

Pobiegł do szopy na narzędzia i wyprowadził z niej motocykl. Bał się, że motor nie

zapali, bo dawno nie był używany, ale zapalił.

Po kilkunastu minutach karkołomnej jazdy, Piotr wypadł na szosę. Miał zamęt w

głowie. Mama... Serce... Co się mogło stać? Nigdy się nie skarżyła na serce. Może zawał?

Matko Święta. Dobrze by było przewieźć mamę do Warszawy, do jakiegoś dobrego szpitala.

Ale jak to zrobić? Nie takie proste. Nie zna w Warszawie żadnego lekarza. Może wuj coś

pomoże? Dodawał gazu i gnał jak szalony. Wreszcie Wołomin.

Od razu pojechał do Kamińskiej. Zajęta była kiszaniem kapusty.

- O - zdziwiła się - już wróciłeś z tej wioski.

- Pani Kamińska! Co z mamą? Podobno zabrali ją do szpitala.

Przyjrzała mu się podejrzliwie.

- Co się z tobą dzieje? Do jakiego znowu szpitala?

- Ktoś telefonował, że mama zachorowała na serce i że ją zawieźli do szpitala.

Myślałem, że to pani telefonowała.

- Ja? Telefonować? A niechże mnie Bóg  
broni Zresztą po co? Twoja matka

zdrowiuteńka. Była tu u mnie przed chwilą.  
Odniosła mi książkę kucharską. Bo to widzisz z  
tymi grzybami...

Piotr nie czekał na prelekcje na temat grzybów.  
Skoczył na motor i rozwijając

możliwie jak największą szybkość, pojechał do  
domu.

Pani Maria była zajęta myciem słoików.

- Zobacz - powiedziała, wskazując stół założony

grzybami. - Same prawdziwki.

Przyniósł mi Zdzisiek Kalinowski. Ale chodźże, synku, niech cię uściskam - wytarła ręce w

ścierkę wiszącą koło drzwi. - Stęskniłam się za tobą. Wróciłeś już na stałe? Czy jeszcze tam

wracasz?

- Mama zdrowa? - spytał. Spojrzała na niego zdziwiona.

- Czy wyglądam na chorą? Nigdy się lepiej nie czułam. Dlaczego pytasz?

- Ktoś telefonował, że mamę zabrali do szpitala, że atak serca. Dlatego przyjechałem.

Pokręciła głową.

- A to dopiero. Ktoś ci zrobił głupi kawał. Pociągnął dłońią po czole.

- Głupi kawał... albo... Jezus Maria!

- Co się stało? - przeraziła się pani Maria.

- Muszę jechać, mamó. Zaraz. Muszę.

- Może byś coś zjadł?

- Nie, nie, nic nie będę jadł. Muszę jechać.

Wybiegł z mieszkania, dopadł motocykla,  
zapaścił motor i za chwilę zniknął za zakrętem.

Pędził jak szalony, wydobywając z maszyny  
maksimum szybkości. Nie zwracał uwagi

na znaki drogowe ani nie zauważył, że zaczął go  
gonić radiowóz milicyjny. Byle prędezej, byle

prędezej. W głowie huczały mu przerażające myśli.  
Komuś zależało na tym, żeby zostawił Adę

bez opieki. A on, skończony idiota, pozwolił jej  
pojechać do lasu. Co się mogło zdarzyć

podczas jego nieobecności? Rany boskie!

Wreszcie zobaczył znajome zabudowania. Po chwili wjechał w podwórze i pobiegł do

stajni. Klacz stała w boksie osiodłana. Potrząsała łbem i niecierpliwie grzebała nogą słomę,

jakby się dopominając, żeby z niej zdjąć siodło. Pobiegł w kierunku domu. Pani Stanisława

wyszła na ganek.

- O... - zdziwiła się. - To ty już z powrotem? Jak mama?

- Mama zupełnie zdrowa. Ktoś zrobił głupi kawał z tym telefonem. Gdzie Ada?

- Jeszcze nie wróciła.

- Jej klacz w stajni. Musiało się coś stać.

Jakby nie dowierzając słowom ciotki, pędem



wpadł do mieszkania i zaczął nerwowo

przeszukiwać wszystkie pokoje. Natknął się na Hanę, która w kuchni wyjmowała grzyby z

koszyka i układała je na stole.

- Nie spotkałaś Ady w lesie? - Nie.

- Nie widziałaś jej, choćby z daleka?

- Nie widziałam.

- Na pewno?

Niecierpliwie wzruszyła ramionami. - Jak mówię, że nie, to nie. Dlaczego tak się

denerwujesz?

- Pojechałem do Wołomina, bo ktoś telefonował, że mama ciężko chora, w szpitalu.

Wracam, a tu klacz w stajni i Ady nie ma.- Po

prostu spadła. Nie ma co od razu robić takiego gwałtu.

- Mocno siedzi w siodle.

- Najlepszemu jeźdźcowi zdarzy się, że go koń zwali. Nadeszła pani Stanisława.

- Widziałeś, ile grzybów Hania zebrała - powiedziała, dotykając tych największych.

- Nie zawracajcie mi głowy grzybami. Muszę natychmiast jechać szukać Ady.

Już siadał na motocykl, ale się rozmyślił. Popędził do stajni, błyskawicznie osiodłał

kasztana i z miejsca ruszył ostrym galopem. „Po tych wertepach lepiej konno” - pomyślał i

energicznie nacisnął konia łydkami. Był przerażony.

## ROZDZIAŁ IV

Trudno go było poznać. Stracił cały swój animusz, swą zawadiacką dziarskość. Z

tryskającego energią i humorem szlachciury przeistoczył się w posępnego, skłonnego do

płaczu starca. Twarz poszarzała, wąsy obwisłe, oczy zaczerwienione.

Kozielski przestał zadawać pytania i przez pewien czas przyglądał się tej smutnej,

zmałtretowanej twarzy.

- Więc niejaki Lucjan Halpert przysłał do pana swoją pasierbicę, ażeby się pan nią

zaopiekował.

- Już to panu powiedziałem.

- Obawiam się, panie Grabiecki, że swoje

zeznania będzie pan musiał parę razy  
powtórzyć.

- Jak trzeba, to trzeba.

Kozielski wyjął paczkę papierosów, ale ją  
natychmiast wsunął z powrotem do  
kieszeni.

- Kim jest dla pana Lucjan Halpert?

- To mój dawny znajomy. Kiedyś przyjaźniliśmy  
się. Później...

- Z tego, co pan poprzednio powiedział, wynika,  
że mieszka stale w Chicago.

- Tak.

- Czym się zajmuje?

Pan Szymon pokręcił głową.

- Dokładnie nie wiem. Prowadzi jakieś interesy.  
Jest handlowcem.- A dlaczego

przysłał do pana swoją pasierbicę?

- Może chciał, żeby dziewczyna poznała ojczyznę  
swoich rodziców. To przecież

Polacy.

- A ten młody człowiek, który jej tutaj  
dotrzymywał towarzysztwa to pański

siostrzeniec?

- Tak. Już to powiedziałem.

- Czy on stale mieszka u pana?

- Nie. Mieszka z matką w Wołominie.

- I pan go tutaj sprowadził, żeby dotrzymywał  
towarzystwa tej dziewczynie.

- Tak.

- Czy to był pański pomysł?

- Niezupełnie. Halpert prosił mnie, żebym znalazł kogoś odpowiedniego, kto by czuwał nad jego pasierbicą.

Kozielski uśmiechnął się nieznacznie.

- Innymi słowy, pański siostrzeniec występował w roli „goryla”.

- Tak się to teraz mówi.

- A dlaczego pan Halpert obawiał się o bezpieczeństwo swojej pasierbicy?

Pan Szymon poruszył ramionami.

- Prawdę mówiąc, nie bardzo wiem. Pisał, że ktoś chce się na nim zemścić...

- Gangsterskie porachunki?

- Nie mam pojęcia. Nie wyobrażam sobie Lucjana w roli gangstera. To spokojny,

łagodny człowiek.

- Z biegiem czasu ludzie się zmieniają. Pan przecież dawno nie widział Lucjana

Halperta.

- Kilkadziesiąt lat.

- No właśnie. W tej chwili to może być zupełnie inny człowiek niż ten, którego pan

kiedyś znał.- Możliwe. Trudno mi coś na ten temat powiedzieć. Pisywaliśmy do siebie bardzo

rzadko. Przysyłał mi karty z życzeniami na Nowy Rok.

Kozielski umilkł, jakby się nad czymś zastanawiał.

Dopiero po dłuższej chwili znowu

się odezwał.

- W zamordowanej rozpoznał pan pasierbicę  
Lucjana Halperta?

- Oczywiście.

- I nie ma pan co do tego żadnych wątpliwości?  
Pan Szymon spojrzał zdziwiony.

- A jakież tu mogą być wątpliwości, panie  
kapitanie? Ten sam wzrost, ta sama figura,  
takie same włosy, takie samo ubranie. No, twarzy  
nie można było rozpoznać, ale...

- Pana nie było w domu, kiedy to się stało.

- Nie. Byłem w Warszawie. Załatwiałem sprawy  
podatkowe.

- Długo pan załatwiał te sprawy?



- Nie tak długo. Może ze dwie godziny... niecałe.

- Ale potem nie od razu wrócił pan do domu?

- Nie. Połąziłem po mieście, porobiłem sprawunki, byłem w zoo.

- Sam pan tak spacerował?

- Sam. A z kimże miałem chodzić? - Nagle pan Szymon podejrzliwie spojrzał na

swojego rozmówcę. - Czyżby pan chciał, żebym ja miał alibi?

Kozielski energicznie potrząsnął głową. - Ale skądże. To są takie zwykłe, rutyniarskie

pytania, | które zadajemy każdemu w podobnych okolicznościach. Twarz pana Szymona

gwałtownie poczerwieniała.

- Bo jeżeli pan mnie podejrzewa... Kozielski

łagodnie się uśmiechnął.- Mogę pana

zapewnić, że o nic pana nie podejrzewam. Proszę się uspokoić. Na razie skończymy naszą

rozmowę. Potem wyjaśnimy sobie może jeszcze parę szczegółów.

Następnie przyszła kolej na panią Stanisławę. Była tak roztrzęsiona, że nie mogła się

skupić i rzeczowo odpowiadać na pytania. Ciągle wracała do tego tajemniczego telefonu,

który spowodował wyjazd Piotra do Wołomina.

- Mój Boże! Mój Boże! Dlaczegoż on pojechał? Ale jak się dowiedział, że matka

ciężko chora, to przecież musiał. Prawda, że musiał?

- Niewątpliwie - zgodził się Kozielski. - I nie wie pani, kto telefonował?

Bezradnym ruchem rozłożyła ręce.

- Nie mam pojęcia.

- Mężczyzna? Kobieta?

- Nawet tego nie potrafię panu powiedzieć. Taki jakiś dziwny głos. Mogła to być

kobieta, a mógł być także i mężczyzna. Nie wiem, naprawdę nie wiem. Ja w ogóle nic nie

wiem, nic nie rozumiem. Ciągłe mi się zdaje, że to jakiś makabryczny sen. To się nie mogło

stać... To się nie mogło stać... Straszne...

Straszne... - Ukryła twarz w dłoniach.

Hanka była o wiele spokojniejsza. Tak, wcześnie rano pojechała rowerem na grzyby,

ale Ady nie widziała, ani Ady, ani konia.

Widocznie poszła w inną stronę.

- Czy pani nie słyszała jakichś krzyków? - spytał Kozielski.

- Nie słyszałam.

- A czy pani nie spotkała w lesie kogoś obcego?

- Nikogo nie spotkałam, ani obcego, ani znajomego

- Co pani może powiedzieć o

denatce? Niechętnie wzruszyła ramionami.

- Właściwie to nic nie mogę o niej powiedzieć.

Miałyśmy ze sobą bardzo mały

kontakt.

- Zdaje się, że nie darzyła ją pani zbyt dużą sympatią.

Ponowny ruch ramion.

- Była mi kimś zupełnie obcym. Nie przepadam za tymi amerykańskimi

dziewczynami. Wszystkie mają przewrócone w

głowach.

- Czy nigdy pani dłużej nie rozmawiała z Adelajdą Marską?

- Nie. Nie szukała mojego towarzystwa ani ja nie usiłowałam się do niej zbliżyć.

- I nie zdarzyło się, żeby ta dziewczyna powiedziała pani, że się czegoś obawia?

- Nie. Była zawsze bardzo pewna siebie.

- Pani jest rodzoną córką państwa Grabieckich.

- Tak.

- Ale używa pani nazwiska Kwiecińska.

- To nazwisko mojego męża. Zginął w wypadku samochodowym.

- Dawno?

- Mniej więcej dwa lata temu.

- Brawurowa jazda? Alkohol? Energicznie potrząsnęła głową.

- Mój mąż w ogóle nie używał alkoholu, a prowadził niesłychanie ostrożnie.

- Czy badano przyczyny tego tragicznego wypadku?

- Tak. Ustalono, że coś tam z hamulcami było nie w porządku, co mnie bardzo

zdziwiło, ponieważ mój mąż z ogromną starannością, a nawet z pewną przesadą dbał o swój

wóz.- Czy można wiedzieć, gdzie pracował pani mąż?

- W handlu zagranicznym.

- To zapewne dużo podróżował.

- Tak. Dość często wyjeżdżał służbowo. Był cenionym fachowcem i znał pięć

obcych języków.

- Czy był także w Stanach Zjednoczonych?

- Tak. Otrzymał stypendium i był tam przeszło rok.

- A czy można spytać, jaki jest pani fach?

- Skończyłam kursy bibliotekarskie, ale nie pracuję w tym zawodzie. Pomagam

rodzicom w gospodarstwie.

- Czy mogłaby pani może coś jeszcze dodać na temat Adelajdy Marskiej?

- Absolutnie nic.

Piotra zabrali do komendy. Chłopak był kompletnie załamany. Świadomość, że

dziewczyna, którą powierzono jego opiece, została zamordowana, doprowadzała go do

rozpaczy. Ręce mu się trzęsły, nie bardzo rozumiał, co się do niego mówi.

Porucznik Bielak przysunął krzesło i nalał wody do szklanki. Był to mężczyzna

średniego wzrostu, mocno zbudowany, o szerokich plecach i kwadratowej twarzy, w której

dominowały ciemne, głęboko osadzone oczy. Krótko przystrzyżone rude włosy przywodziły

na myśl surówkę ze świeżej marchewki.

- Napijcie się - powiedział łagodnym, spokojnym głosem - to wam dobrze zrobi.

Odświeży gardło.

Piotr machinalnie sięgnął po szklankę, wypił, odetchnął głęboko i tępym spojrzeniem



powiódł po milicyjnym pokoju.

Tymczasem Kozielski usiadł za biurkiem, rozłożył teczkę z aktami i przez dłuższą

chwilę przyglądał się młodemu człowiekowi. Następnie dokładnie zanotował imię, nazwisko, miejsce i datę urodzenia, adres i jeszcze kilka drobnych szczegółów.

- Gdzie pracujecie?

- Nigdzie. To znaczy...

- Uczycie się? Uczęszczacie do jakiejś szkoły?

- Nie. Zdałem na politechnikę, ale mnie nie przyjęli.

- Dlaczego?

- Podobno zabrakło dla mnie miejsca.

- To czym się obecnie zajmujecie?

- Chwilowo zatrudnił mnie wuj.

- A przedtem?

- Pomagałem matce.

- Na czym polegała ta pomoc?

- No... tak... dorywczo czasem coś zarobiłem i pieniądze dawałem matce.

- Dzwoniliśmy do Wołomina. Nie najlepszą tam macie opinię.

Piotr już się opanował. Poprawił się na krześle i energicznie spojrzał na milicjanta.

- Nic na to nie poradzę.

Kozielski machnął ręką. W tej chwili zdał sobie sprawę z tego, że niezbyt zręcznie

zaczął przesłuchanie. Powinien był wykorzystać wyczerpanie nerwowe chłopaka.

- Zresztą nie na ten temat chciałem z wami porozmawiać. W danym momencie

najistotniejszą sprawą jest zamordowanie tej dziewczyny.

- Jak się dowiedziałem, że matkę zabrali do szpitala, to przecież musiałem pojechać.

Kozielski pokiwał głową.

- Oczywiście. Nie czynię wam z tego tytułu żadnego zarzutu. Jak sądzicie, kto mógł

telefonować, że wasza matka zachorowała?- Nie mam pojęcia.

- Dziwna sprawa, bardzo dziwna sprawa. Komuś najwidoczniej zależało na tym, żeby

dziewczyna została bez opieki. Z tego można

wyciągnąć logiczny wniosek, że ten ktoś był w porozumieniu z mordercą.

- To jasne - przytaknął Piotr.

- Czy ta dziewczyna podobała wam się?

- Ada mogła się podobać.

- Nie pytam, czy mogła się podobać - powiedział dosyć ostro Kozielski - pytam, czy

wam się podobała.

- No... tak... owszem... podobała mi się - odparł niechętnie Piotr.

- A czy ona darzyła was żywszą sympatią?

- Nie wiem.

- Czy była zadowolona z pobytu tutaj?

- Nudziła się. Nie przywykła do wiejskiego życia.

- I chciała wrócić do Stanów? - Tak.

- Czy mówiła, że grozi jej jakieś niebezpieczeństwo, że boi się czegoś czy kogoś?

- Nie. Nic takiego nie mówiła. - Jaki był jej stosunek do otoczenia?

- Wszyscy ją bardzo lubili. Była wesoła... serdeczna, żartowała.

- A czy ta wasza kuzynka także ją lubiła?

- Hanka? - Piotr zawahał się. - Boja wiem...?

- Mówcie śmiało - nalegał Kozielski.

- No, wie pan. Dwie młode, ładne dziewczyny rzadko kiedy przepadają za sobą. Ale

chyba pan nie przypuszcza...

Kozielski przerwał mu energicznym ruchem ręki. -  
Ja nic nie przypuszczam.

Powiedźcie mi, Woźniak, czy podczas tych  
konnych spacerów Adelajda Marska nie zwierzyła  
się wam z jakichś swoich kłopotów, czy nie  
powiedziała czegoś, co mogłoby wam teraz dać  
do myślenia?

Piotr zastanowił się przez chwilę.

- Właściwie to nie, chociaż... Kiedyś powiedziała  
mi, że jestem zbyt łatwowierny, zbyt

prostoliniorny i że nie powinienem bezkrytycznie  
wierzyć we wszystko, co mówią ludzie.

- W związku z czym to powiedziała?

- Właściwie w związku z niczym, tak sobie.

- A czy nie rozmawialiście kiedyś na temat waszej

kuzynki?

- Ale skąd - zaprotestował nieco zbyt energicznie Piotr.

Nie chciał mieszać Hanki do tej potwornej sprawy. Słowa Ady wyryły mu się głęboko

w pamięci. Robił wszystko, żeby cień podejrzenia nie pojawił się w jego świadomości. To

było zupełnie bezsensowne, ale powracało z niesłychanym uporem. Bał się.

Kozielski udał, że nie zauważył reakcji chłopaka. Spytał:

- Czy pasierbica Halperta opowiadała wam o swoim życiu w Chicago?

- Właściwie to nie. Tak... ogólnikowo...

- A czy rozmawialiście ojej ojczymie?

- Raczej nie. To znaczy...

- Mówcie, mówcie - zachęcił go Kozielski.

- Kiedyś zacząłem rozmowę na temat jej ojczyma, ale zauważyłem, że Ada nie ma

specjalnej ochoty, odpowiadała mi nic nieznaczącymi półsłówkami. Dałem spokój.- Czy w

lesie nie widzieliście kogoś obcego?

- Nie. Nikogo nie spotkałem.

- A może jakiś samochód?

- Nie. Nie było żadnego samochodu. W każdym razie ja nie widziałem.

- Nie ruszaliście zwłok?

- Skądże znowu. Przecież wiem, że nie wolno.



- Nie macie wątpliwości, że została zamordowana pasierbica Halperta?

Piotr spojrział zdumiony.

- A jakież tu mogą być wątpliwości? Oczywiście, że została zamordowana Ada. Ktoś

jej zmasakrował twarz. Może jakiś zboczeniec.

Kozielski zamknął teczkę z aktami i powolnym ruchem wsunął długopis do kieszeni.

- No... na dzisiaj dosyć. Chłopak podniósł się z krzesła.

- Mogę już iść?

- Tak. Tylko nie możecie nigdzie dalej wyjeżdżać. Musicie w każdej chwili być do

naszej dyspozycji. Przypuszczam, że będzie chciał was przesłuchać prokurator.

Piotr uklonił się i wyszedł, zamykając starannie drzwi za sobą.

- No i co?

Bielak wzruszył ramionami.

- No i nic?

- Co myślisz o tym wszystkim? Porucznik zapalił papierosa i zaciągnął się dymem.

- Od myślenia to jesteś ty. Ja występuję w charakterze siły pomocniczej.

- Nie żartuj, Romek. To poważna sprawa.- A kto mówi, że niepoważna?

Kozielski zamyślił się i zaczął bębnić palcami po blacie biurka.

- Niepokoi mnie identyfikacja zwłok.

- Podzielam twój niepokój - zgodził się porucznik.

- Kto, u diabła, mógł tak

zmasakrować twarz i dlaczego? Ten chłopak sugerował, że może jakiś zboczeniec.

Niewykluczone.

- Albo jakaś straszliwa nienawiść - powiedział Kozielski. - Czyn dokonany w

chorobliwym afekcie.

- Albo komuś zależało na tym, żeby nie można było zidentyfikować zwłok - podsunął

Bielak.

Kozielski wstał i zaczął przechadzać się po pokoju.

- To samo przed chwilą przyszło mi do głowy. W takim wypadku to by oznaczało, że

nie Adelajda Marska została zamordowana, tylko

ktos zupełnie inny. Zbyt skomplikowane,

stanowczo zbyt skomplikowane. Obawiam się, że zaczyna nas ponosić literacka fantazja.

- Tak. To jest temat na powieść kryminalną - pokiwał głową porucznik.

- Chwileczkę - Kozielski otworzył teczkę z aktami.

- Zastanówmy się, kogo obecnie

mamy na tapecie. A więc: Szymon Grabiecki, starszyjowialnyjegomość. Czort wie, co na

stare lata może takiemu strzelić do głowy, a dziewczyna była młoda i ładna. Alibi nie ma.

Jedźmy dalej... Ta wdówka, która nie przepadała za Adelajdą. Dwie młode dziewczyny i

bardzo przystojny, atrakcyjny chłopak... Nietrudno o konflikt. A propos. Trzeba będzie

dokładnie sprawdzić, w jakich okolicznościach

zginął mąż tej niepokieszzonej wdowy, która

być może miała ochotę pocieszyć się z kuzynem.-  
Sądziysz, że to może mieć coś wspólnego z

tą sprawą? - zdziwił się Bielak.

Kozielski rozłożył ręce.

- W tej chwili nie kojarzę sobie ze sobą tych  
dwóch spraw, ale w naszej robocie nigdy

nic nie wiadomo, co do czego będzie z biegiem  
czasu pasować.

- Ta wdówka poszła na grzyby - powiedział  
Bielak. Kozielski pokiwał głową.

- Właśnie. A Adelajda konno pojechała do lasu.  
Mogły się spotkać.

- Ale również mogły się nie spotkać - zauważył  
słusznie porucznik. - Trudno mi sobie

wyobrazić, żeby ta młoda, ładna kobieta miażdżyła kamieniem twarz swojej rywalki.

- Młode, ładne kobiety popełniały o wiele gorsze zbrodnie, jak nas uczy historia -

powiedział Kozielski. - Bo widzisz...

Bielak przerwał mu energicznym ruchem ręki.

- Daj spokój, daj spokój. W tej chwili nie jestem w nastroju wysłuchiwać referatów na

temat zbrodni dokonywanych przez kobiety na przestrzeni historii ludzkości. Powiedz mi

lepiej, czy Halpert został powiadomiony o śmierci pasierbicy?

- Tak. Grabiecki telefonował do Chicago, a ja na wszelki wypadek kazałem nadać

telegram.

- Czyli że niebawem możemy się spodziewać odwiedzin zrozpaczonego ojczyma. A

co z tym telefonem?

- Z jakim telefonem?

- No... ktoś telefonował, że matka tego chłopaka zachorowała i że odwieźli ją do

szpitala.

Kozielski pokiwał głową.

- Zgadza się. Tajemnicza historia. Ktoś najwidoczniej chciał, żeby dziewczyna przez

jakiś czas została bez opieki. Ale ten ktoś nie mógł przewidzieć, że ona pojedzie sama do

lasu. Mogła przecież zostać w domu. Bielak klepnął przyjaciela po ramieniu.

- Posłuchaj, Stachu. Znowu wracamy do

identyfikacji zwłok. Jeżeli dziewczyna

chciała się pozbyć na pewien czas swojego „goryla”, to nasuwa się logiczny wniosek, że

działała w porozumieniu z kimś i że nie ona została zamordowana.

- A ty znowu zaczynasz pisać kryminał o niezwykle zawiłej intrydze - uśmiechnął się

Kozielski. - Taka koncepcja wydaje mi się trochę zbyt skomplikowana. Nie mamy absolutnie

żadnych danych, żeby iść po tej linii. Nie dajmy ponieść się fantazji. Trzymajmy się faktów.

Wszyscy jednogłośnie zidentyfikowali zwłoki, figurę, włosy, ubranie. Buty, spodnie, kurtka -

wszystko zagranicznego pochodzenia. Trudno sobie wyobrazić, żebyjakiś sobowtór

identycznie ubrany został zamordowany. Nie, nie,



to nie wytrzymuje krytyki.

- Zastanawiające jest zmasakrowanie twarzy - powiedział Bielik.

Kozielski pokiwał głową.

- To prawda. Zaciekła nienawiść o charakterze patologicznym? Zbrodnia na tle

zbożenia seksualnego?

- Albo ktoś chciał utrudnić identyfikację zwłok - uzupełnił porucznik.

Kozielski tym razem nie zaprotestował.

- Albo ktoś chciał utrudnić identyfikacje zwłok - powtórzył.

Późnym popołudniem dostarczono im wyniki badań daktyloskopijnych. Okazało się,

że ktoś zostawił wyraźne odciski linii papilarnych

na wodzach i siodle, których nie można

było zidentyfikować ani z liniami papilarnymi Adelajdy Marskiej, ani z liniami papilarnymi

jej „goryla”. Szymon Grabiecki, jego żona i ich córka także nie wchodzili w rachubę.

- Z tego wynika, że ktoś spoza grona naszych znajomych dotykał wodzy i siodła, na

którym siedziała ta dziewczyna - powiedział Bielak.

- Podziwiam twoją bystrość - uśmiechnął się Kozielski. - Teraz nie pozostaje nam nic

innego, jak znaleźć właściciela tych paluszków.

Nie ulega wątpliwości, że to mężczyzna, i to

mężczyzna o niezbyt małych dłoniach.

## **ROZDZIAŁ V**

Końcem języka zwilżył spierzchnięte wargi.  
Kozielski przez dłuższą chwilę

przyglądał się tym wąskim, szarym wargom, jakby ich wyraz miał mu dopomóc w określeniu

charakteru człowieka siedzącego po drugiej stronie biurka.

- Więc pan nie ma wątpliwości co do tego, że to pańska pasierbica została

zamordowana.

- Nie mam najmniejszych wątpliwości - padła zdecydowana odpowiedź. Głos suchy,

lekko schrypnięty.

- Jest pan tego zupełnie pewien?

- Najzupełniej.

Kozielski utkwiał uważne spojrzenie w twarzy

swojego rozmówcy.

- Chciałbym z panem wyjaśnić pewne szczegóły, dotyczące tej tragicznej sprawy.

Przytakujące poruszenie głową.

- To zrozumiałe. Jestem do pańskiej dyspozycji.

- Czy mógłby mi pan tak zupełnie szczerze powiedzieć, w jakim celu przysłał pan tu

swoją pasierbicę?

Halpert nie od razu odpowiedział. Poruszył się na krześle, zapalił papierosa, zaciągnął

się i wypuścił dym nozdrzami.

- Widzi pan, panie kapitanie, to taka trochę skomplikowana sprawa.- Ale ponieważ

wiąże się ściśle z popełnioną zbrodnią, chciałbym ją znać - powiedział Kozielski.

Halpert zgasił papierosa i odchrząknął.

- To zrozumiałe. Otóż... Prowadzę w Chicago przedsiębiorstwo transportowe. Trafił

mi się klient, który bardzo dobrze płacił i nie żądał rachunków. Po pewnym czasie jednak

zorientowałem się, że nielegalnie przewożę broń, a od czasu do czasu narkotyki.

Postanowiłem z tym skończyć. Wtedy zaczęli mnie szantażować. Żądali, żebym w dalszym

ciągu był na ich usługach, w przeciwnym razie zlikwidują mnie i moją pasierbicę. Ja umiem

się bronić, ale Ady nie chciałem narażać na śmiertelne niebezpieczeństwo i dlatego

postanowiłem ją ulokować w jakimś bezpiecznym miejscu. Byłem pewien, że tutaj nic jej nie

grozi. Na wszelki wypadek zaangażowałem

jeszcze tego chłopaka, żeby nad nią czuwał.

Kozielski ze zrozumieniem kiwał głową. Ani jednym słowem nie zdradził się z tym,

że nie jest skłonny wierzyć we wszystko to, co usłyszał. Spytał:

- Czy pan po wojnie bywał w Polsce?

- O, tak. Parokrotnie tu przyjeżdżałem.

- Czy w jakimś konkretnym celu?

- W sprawach handlowych. Mam zamiar zrezygnować z tej transportowej imprezy i

przerzucić się na inną branżę. Chciałem nawiązać kontakty z tutejszymi centralami

handlowymi.

- I udało się to panu?

- Jeszcze niezupełnie, ale mam wrażenie, że wkrótce...

- Czy na terenie Stanów Zjednoczonych stykał się pan z przedstawicielami polskiego

handlu zagranicznego?- Oczywiście.

- A czy spotkał się pan z inżynierem Kwiecińskim, z Adamem Kwiecińskim?

Wąskie wargi poruszyły się bezdźwięcznie. Dopiero po chwili Halpert odpowiedział:

- Inżynier Kwieciński... Inżynier Kwieciński... Nie, nie przypominam sobie. Być

może, że kiedyś się z nim zetknąłem, ale nie pamiętam. Gdybym go zobaczył, to

niewykluczone...

- Już go pan nigdy nie zobaczy. Zginął w wypadku samochodowym.

- To przykre.

- Nawet bardzo. Podobno był niezwykle uzdolnionym młodym człowiekiem. Niestety

rozwój motoryzacji pochłania coraz więcej ofiar. Ale odbiegliśmy trochę od właściwego

tematu naszej rozmowy. Proszę mi powiedzieć, kiedy ostatni raz był pan w Polsce?

- Dokładnie nie pamiętam, dwa, może trzy lata temu. Musiałbym zajrzeć do moich

papierów. Mogę to oczywiście ustalić. Jeżeli panu na tym zależy...

Kozielski machnął ręką.

- To nie jest konieczne. Czy podczas ostatniego pobytu tutaj widział się pan z

Szymonem Grabieckim?



- Nie.

- Podobno to pański serdeczny przyjaciel.

- Tak. Ale wtedy przyjechałem na bardzo krótko, miałem masę spraw do załatwienia.

Nie zdążyłem do niego pojechać.

- Zapewne pan zatelefonował.

- Nie pamiętam. Być może, że nawet na telefon nie miałem czasu.

- Z tego wnioskuję, że podczas ostatniego pobytów w Polsce nie miał pan jeszcze

zamiaru przysyłać pasierbicy do Grabińskiego.

- Nie. To zupełnie nowa koncepcja.

- Pańska pasierbica przyjechała do Polski sama?

- Tak. Nie mogłem się wtedy ruszyć z Chicago, a

chciałem jak najprędzej umieścić

Adę w bezpiecznym miejscu. Okazało się, że to miejsce nie jest takie najbezpieczniejsze.

Kozielski westchnął współczująco.

- Niestety. Czy sądzi pan, że pańską pasierbicę zamordowali ci handlarze bronią i

narkotykami, którym pan się naraził?

- A któżby inny?

Kozielski umilkł i przez chwilę bębnił palcami po blacie biurka.

- Coś mi tu nie gra - powiedział. Halpert pytająco podniósł brwi do góry.

- Nie wiem, co pan ma na myśli.

- Twarz pańskiej córki została zmasakrowana - mówił dalej Kozielski. - Robi to takie

wrażenie, jakby komuś zależało na tym, żeby utrudnić identyfikację zwłok. W jakim celu ci gangsterzy mieliby to robić?

Halpert wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Może wśród nich był jakiś sadysta.

- Poza tym - ciągnął Kozielski - w jakim celu mieliby zabijać pańską pasierbicę? To

im nic nie dawało. To zupełnie bezsensowne działanie. O wiele bardziej opłacałoby się im

porwać dziewczynę i trzymać pana w szachu. Ale to powinni byli zrobić w Chicago, a nie w

Polsce. Jechać tutaj z Chicago, żeby likwidować dziewczynę. Zupełnie bez sensu. Chyba że

pańskapasierbica w jakiś sposób im zagrażała albo była jakąś przeszkodą w ich działaniu.

Halpert energicznie potrząsnął głową.

- To wykluczone. Ada nie miała nic wspólnego z tą bandą.

- Biorąc to wszystko pod uwagę - powiedział Kozielski - będziemy chyba musieli

zrezygnować z tych pańskich gangsterów i szukać mordercy na naszym terenie.

Halpert rozłożył ręce.

- Pozostawiam to do pańskiego uznania, panie kapitanie. Nie jestem fachowcem w

tych sprawach. Czy mogę już pana pożegnać?

- Tak. Chyba na dziś skończyliśmy naszą rozmowę. W razie potrzeby zatelefonuję do

pana. Pan zatrzymał się w Forum, prawda?

- Tak. Czwarte piętro, pokój 425.

Kozielski został sam. Miał kompletny zamęt w głowie. Cała ta sprawa nasuwała mu

tysiące wątpliwości, których nawet nie bardzo umiał sprecyzować. Wyczuwał jednak

intuicyjnie, że za tym wszystkim kryje się jakaś zagadka, którą nie tak łatwo będzie

rozszyfrować. Rozhuśtana wyobraźnia podsuwała mu coraz to nowe, coraz bardziej

nieprawdopodobne koncepcje. Wreszcie postanowił skończyć z tym fantazjowaniem i

spojrzeć realnie na sprawę. W tym celu wezwał do siebie porucznika Bielaka. Cenił jego

zdrowy, chłopski rozum i trzeźwe spojrzenie na najbardziej nawet skomplikowane

zagadnienia.

- Siadaj, Romek. Chcę z tobą pogadać.

- Mówi się trudno - uśmiechnął się porucznik. -  
Wyznaj, co ci leży na

wątrobie. Kozielski w kilku zdaniach streścił  
rozmowę z Halpertem.

- Nie podoba mi się ten facet - zakończył.

- Mnie także nie - powiedział Bielak.

- Widziałeś go?

- Na korytarzu, jak od ciebie wychodził. Buziuchna  
niezbyt urocza.

- Co o tym wszystkim myślisz?

Porucznik przeciągnął dłonią po płomiennej  
czuprynie.

- No cóż... Musisz chyba bardzo uważać, żeby cię  
ktoś nie zrobił w konia.

- Masz na myśli Halperta.

- Przede wszystkim. Ale nie tylko on może wchodzić w rachubę. To mi wygląda na

jakaś bardzo skomplikowaną aferę. Ta wersja o amerykańskich gangsterach wydaje mi się

mocno naciągnięta.

- Z ust mi to wyjąłeś - przytaknął Kozielski. - To się absolutnie kupy nie trzyma. Poza

tym ciągle nie daje mi spokoju sprawa identyfikacji zwłok.

- Właśnie - podjął Bielak. - To zmasakrowanie twarzy wygląda podejrzanie.

Właściwie nie mamy stuprocentowej pewności, że to rzeczywiście została zamordowana

pasierbica Halperta.

- Ale w jakim celu organizowałyby tego rodzaju mistyfikację?

Porucznik wzruszył ramionami.

- Któż to wie? Może bardzo wysoko ubezpieczył ją na życie.

Kozielski potrząsnął głową.

- Nie. To byłoby zbyt grubymi nićmi szyte. Przecież musiałby brać pod uwagę, że w

każdej chwili możemy skontaktować się z policją amerykańską, która natychmiast zaczęłaby

węszyć w większych towarzystwach ubezpieczeniowych. Oni tam z tego rodzaju sprawami

mają często do czynienia. To zbyt ryzykowny numer. Taki facet jak Halpert na to by nie

poszedł.

- Więc...? Co proponujesz?



Kozielski rozłożył ręce.

- Nie mam absolutnie żadnej koncepcji. Nic ci nie mogę zaproponować. Chyba

jeszcze raz wszystkich po kolei przesłucham. Może mi coś wpadnie do głowy.

Te przesłuchania jednak niewiele dały. Szymon Grabiński powtarzał w kółko to samo,

ubolewał nad tym, co się stało, przeklinał mordercę, nie mógł sobie darować, że wtedy akurat

wyjechał do Warszawy.

- Jak bym był w domu, to bym dziewczyny samej nie puścił do lasu - mówił.

- Czy Halpert był u pana? - spytał Kozielski.

- Był, ale krótko ześmy rozmawiali. Cóż mu mogłem powiedzieć?

- Czy uważa pan, że bardzo rozpacza? Grabiecki spojrzał zdziwiony.

- Czy rozpacza? No chyba. Chociaż...

- Chociaż co?

- Chociaż przypuszczałem, że będzie bardziej załamany. Dzielnie się trzyma. To

mocny człowiek.

- Czy wspominał panu coś o tych gangsterach, którzy jakoby zagrażali jego

pasierbicy?

- Nie, nie było o tym mowy. Powiedział tylko, że rezygnuje z tego przedsięwzięcia

transportowego i że w najbliższym czasie wyjeżdża na Florydę, gdzie będzie stawiał dom.-

Widocznie musiał się solidnie dorobić na tym

swoim przedsiębiorstwie.

- Ano, tak wychodzi. Chociaż w ostatnim liście pisał mi, że u niego z forszą dosyć

krucho.

- A czy pański zięć, Adam Kwieciński, ten, który zginął w wypadku samochodowym,

znał Halperta?

Grabiecki poruszył ramionami.

- Może go i znał. Tego nie powiem, bo nie wiem. Ale siedział tyle czasu w tej

Ameryce, że mogli się gdzieś spotkać.

Powtórna rozmowa z panią Stasią nie wniosła do sprawy nic nowego. Ubolewała,

plakała, robiła sobie wyrzuty, że pozwoliła dziewczynie samej pojechać do lasu, nie mogła

powstrzymać łez.

Trochę dłuższą rozmowę przeprowadził Kozielski z Hanką.

- Przykro mi, że muszę z panią mówić o tym tragicznym wypadku, ale chciałbym

uzyskać jeszcze pewne dodatkowe informacje.

Skinęła głową w milczeniu.

- Otóż... - Kozielski odchrząknął, jakby mu nagle zaschło w gardle. - Podczas

pierwszej naszej rozmowy powiedziała pani, że pan Kwieciński był doświadczonym i

ostrożnym kierowcą.

- Tak. Adam jeździł bardzo ostrożnie, nigdy nie rozwijał większej szybkości. Czasami

nawet ja go namawiałam, żeby na dwupasmowej

autostradzie zwiększył szybkość. Nie chciał.

- Czy w dniu tego wypadku mąż pani jechał w jakiejś konkretnej sprawie?

- Jechał do Gdańska. Miał się tam z kimś spotkać.

- Może pani wie z kim?- Nie wiem. Mąż nigdy nie rozmawiał ze mną o swoich

interesach.

- O ile mi wiadomo, pani mąż był w Stanach Zjednoczonych.

- Tak. Przeszło rok. Otrzymał stypendium.

- Zapewne pisywał do pani.

- Oczywiście.

- Czy w którymś liście nie wspomniał, że spotkał w Stanach niejakiego Lucjana

Halperta?

- Nie przypominam sobie.

- Czy pani ma może jeszcze te listy?

- Mam.

- Czy mogłaby je pani przejrzeć i zobaczyć, czy w nich nie ma mowy o Lucjanie

Halpercie?

- Nie mam na to ochoty. Skinął głową.

- Rozumiem. Ale to dla mnie ważne. Niech się pani zastanowi. Może jednak...

- Spróbuję.

- A wracając do sprawy tego wypadku, podczas pierwszej naszej rozmowy

wspomniała pani, że wwozie pani męża nie

działały hamulce.

- Tak.

- Czy przeprowadzono dochodzenie w tej sprawie?

- Oczywiście. Milicja stwierdziła uszkodzenie przewodów hamulcowych.

- Może pani przypomina sobie, kto się zajmował wtedy tą sprawą?

- Zdaje się, żejakiś oficer, który nazywał się Lipski, ale nie jestem pewna.

Idąc do swojego wozu, Kozielski spotkał na podwórzu Grabieckiego.- Coś pan

strasznie długo męczył naszą Haneczkę.

- Potrzebowałem trochę dodatkowych informacji. Przy okazji rozmawialiśmy na

tematy osobiste.

- Może o tym jej nieudanym małżeństwie, o Adamie?

- Dlaczego pan uważa, że małżeństwo pańskiej córki było nieudane? Dlatego, że się

jej mąż zabił?

Grabiecki energicznym ruchem szarpnął wąsa.

- Dlatego i nie dlatego. Widzi pan, panie kapitanie, kobita nie powinna puszczać od

siebie chłopca na tak długo. Chłop to chłop i na to nie ma rady.

- Myśli pan, że...

- Ja nic nie myślę, tylko wiem. Mało to gadania było po jego powrocie z tej cholernej

Ameryki. Potrzebne im to było? Oboje z żoną już



żeśmy myśleli, że się rozejdą. Ale Stasia, to  
znaczy moja żona, załagodziła jakoś sprawę i  
wyglądało na to, że się może pogodzą. A tu  
masz. Zabił się.

Kozielski słuchał bardzo uważnie. To, co  
powiedział wąsaty badylarz, bardzo go  
zainteresowało.

- Z tego, co pan mówi, wnioskuję, że pański zięć  
znalazł sobie w Stanach jakąś  
sympatię.

- A mało to tam takich bogatych kurew, które  
żadnemu mężczyźnie nie przepuszczą.

Tfu... - Grabiecki splunął z rozmachem. - A  
świętej pamięci Adaś to był kawał chłopca i  
bardzo przystojny. Każda by na niego poleciała.

Szkoda go. Żeby nie ten przeklęty mercedes,  
to może by im się to wszystko ułożyło. Te  
amerykańskie źdźziry prędko by mu wywietrzały z  
głowy. Nasza Haneczka także przecież niczego  
sobie.

- Bardzo ładna - powiedział z przekonaniem  
Kozielski.

- No widzi pan... - westchnął Grabiecki - jak to się  
życie ludziom czasem komplikuje.

A wszystkiemu winna ta przeklęta motoryzacja. Ilu  
to się ludzi zabija w samochodach. Aż

strach pomyśleć. No... ale widać tak być musi.  
Technika nas zabija, panie dzieju, technika nas  
zabija.

Kozielski głęboko zamyślony wracał do  
Warszawy.

- Coś ze mną nie w porządku - mruczał pod nosem.  
- Stanowczo coś ze mną nie w  
porządku...

Zupełnie nie mógł zrozumieć, dlaczego nieustannie  
łączy sprawę tego wypadku

samochodowego ze sprawą zamordowania  
pasierbicy Halperta. Właściwie nie było po temu

żadnego powodu. Absolutnie nic nie łączyło tych  
dwóch zdarzeń. Żeby chociaż Kwieciński

znał Halperta. Może córka Grabieckich zdecyduje  
się przejrzeć te listy, ale to

prawdopodobnie nic nie da.

Hanka miała dobrą pamięć. Okazało się, że  
rzeczywiście sprawę tego wypadku

samochodowego prowadził swego czasu porucznik  
Tomasz Lipski, który dowiedziawszy się,

o co chodzi, skrzywił się niechętnie.

- Pamiętam. To stara historia.

- Ale bardzo interesująca.

Lipski ziewnął i wygodnie rozsiadł się w fotelu. Był zmęczony i senny.

- Jeżeli interesują cię szczegóły, to musiałbym odkopać te akta. Mógłbyś przyjść

jutro?

- Mógłbym - zgodził się Kozielski. - Ale zanim odkopiesz szczegóły, to może na razie

streścisz własnymi słowami to, co pamiętasz.

Lipski znowu ziewnął i podrapał się za uchem.

- Sprawa w zasadzie dosyć prosta. Ktoś przerznął facetowi przewody hamulcowe, a na

zakręcie stała nieprawidłowo zaparkowana ciężarówka z przyczepą.- Czyli ktoś go chciał zlikwidować.

- Nie ulega wątpliwości.

- No i co?

- No i nic. Przeprowadzone zostało szczegółowe dochodzenie, które nie dało żadnych rezultatów. Sprawa poszła ad akta.

- Odciski palców?

- Oczywiście. Ci od daktyloskopii solidnie się napracowali. Było tego sporo, ale

niestety tych linii papilarnych nie dało się z nikim zidentyfikować. Pamiętam, że wtedy

braliśmy pod uwagę osoby stojące poza wszelkim podejrzeniem. Wszystko na nic.

Kozielski wstał.

- No dobra. Będę ci bardzo wdzięczny, jeżeli jutro odkopiesz mi te akta. A teraz idź

spać, bo mam wrażenie, że zarwałeś noc.

- Byłem na służbie. Miałem pewien problem do rozwiązania.

- Nie wchodzę w szczegóły twoich nocnych problemów - uśmiechnął się Kozielski i

wyszedł.

Pojechał do Forum. Halpert był w swoim pokoju. Trochę zdziwiła go ta

niespodziewana wizyta. Nie dał tego jednak poznać po sobie. Zachowywał się swobodnie, z

dobrze wyreżyserowaną uprzejmością.

- Proszę, niech pan siada, panie kapitanie. Napije

się pan czegoś. Zaraz każe podać.

Kozielski potrząsnął głową.

- Dziękuję bardzo. Niech się pan nie trudzi. Nie przyszedłem tutaj na drinka.

Chciałbym wyjaśnić jeszcze dodatkowo parę szczegółów.

Po wąskich wargach Halperta przesunął się jakby cień zniecierpliwienia.- Słucham

pana. O cóż to chodzi?

- Chodzi mi o pewne informacje dotyczące pańskiej pasierbicy.

Halpert zmarszczył brwi i poruszył się w fotelu. Nietrudno było się domyśleć, że ta

rozmowa nie sprawia mu przyjemności. Kozielski doskonale to wyczuwał, ale nie miał

zamiaru rezygnować. Dokładna znajomość pewnych faktów była mu niezbędna.

- Rozumiem, że to temat niezmiernie przykry, tym niemniej zmuszony jestem zadać

panu jeszcze parę pytań.

- Co pan chce wiedzieć? - mruknął już niezbyt uprzejmie Halpert.

- Chciałbym wiedzieć - mówił dalej niezrażony tym Kozielski - czy pańska pasierbica

miała tam w Chicago jakąś sympatię, może narzeczonego?

Halpert spojrział zdziwiony.

- A jak pan sobie to wyobraża? Młoda, bardzo ładna dziewczyna. Oczywiście, że

miała kolegów, przyjaciół, adoratorów.



- A czy któregoś z tych młodych ludzi darzyła specjalną sympatią?

Halpert rozłożył ręce.

- Trudno mi powiedzieć. Byłem zbyt zajęty, żeby zajmować się flirtami mojej

pasierbicy. Przychodził taki jeden sportowiec. Zdaje się, że Ada była nim najbardziej

zainteresowana.

- Zna pan jego nazwisko?

- Tak. Jeżeli dobrze pamiętam, to chyba Bob Maxwell.

- Czy istnieje możliwość, że ten Bob Maxwell wiedział, że pańska pasierbica jedzie do

Polski, do Grabeckich? Halpert potrząsnął głową.

- Nie sędzę. Prosiłem Adę, żeby nikomu nie

wspominała o jej wyjeździe. Wiedziała

przecież, że to dla jej bezpieczeństwa.

- Adelajda Marska była córką pańskiej żony?

- Tak. Była córką mojej żony z pierwszego małżeństwa.

- Czy pańska żona żyje?

- Nie. Zginęła kilka lat temu w katastrofie samolotowej.

- A ojciec pańskiej pasierbicy?

- Nie wiem, co się z nim dzieje. Od chwili rozwodu nie dał znaku życia. Podobno

wyjechał do Europy, ale nie wiem, czy to prawda.

- Dzieckiem się nie zainteresował?

- Absolutnie nie.

- Alimentów nie płacił? - Nie.

Kozielski wyczuwał, że Halpert chce się go jak najszybciej pozbyć. Powiedział:

- Nie zajmę już panu dużo czasu. Chciałbym jeszcze tylko zapytać: na jakie choroby

chorowała pańska pasierbica?

Halpert spojrział zdziwiony.

- Na jakie choroby chorowała? Co to ma do rzeczy?

- Wszystkie szczegóły dotyczące pańskiej pasierbicy mają znaczenie dla sprawy -

wyjaśnił Kozielski - choroby także.

Halpert był wyraźnie zniecierpliwiony.

- No cóż... Jeżeli pan chce koniecznie wiedzieć, to, o ile pamiętam, Ada chorowała na

różne dziecięce choroby jak: wietrzna ospa, odra, dyfteryt...- A czy pańska pasierbica

przechodziła jakąś operację?

Halpert przez ułamek sekundy zawahał się.

- Nie jestem pewien, czy dobrze pamiętam, ale zdaje mi się, że moja żona mi

wspominała, że Ada w dzieciństwie miała usuwaną ślepą kishkę. Specjalnie nie

interesowałem się tą sprawą. U dzieci to taki kosmetyczny zabieg.

Kozielski wstał. Podziękował za rozmowę i opuścił Forum. W komendzie czekał na

niego niecierpliwie Bielak.

- Gdzie ty się podziewasz tyle czasu. Mamy nową komplikację.

- Co się stało?

- Wyobraź sobie, że w pokoju tej dziewczyny nie znaleziono żadnych odcisków

palców. Ci od daktyloskopii napracowali się solidnie. Bez rezultatu.

- Cholera - mruknął Kozielski. - Jak to możliwe? Przecież musiała czegoś dotykać.

- Najwidoczniej była osobą niezwykle porządną - uśmiechnął się porucznik. -

Niezwykle starannie wycierała kurze.

Kozielski spojrzał na niego chmurnie.

- Ty sobie żarty stroisz, a to jest rzeczywiście bardzo poważna sprawa. Z

dotychczasowego naszego doświadczenia wiemy przecież, że morderca zaciera po sobie

ślady, ale żeby robiła to ofiara zbrodni, tego jeszcze nie bywało.

- Chyba że ofierze zbrodni zależało z jakichś powodów na utrudnieniu identyfikacji

zwłok - podsunął Bielak.

Kozielski pokiwał głową.- Bardzo to inteligentnie wykoncypowałeś. A teraz może

podasz mi te powody.

- Nie wymagajcie zbyt wiele, obywatelu kapitanie.

Kozielski podszedł do wieszaka i zdjął płaszcz.

- jadę do Grabieckich. A ty podumaj tutaj sobie. Może coś mądrego wymyślisz.

Pani Stanisława powitała gościa jak starego znajomego poczęstowała go herbatą i

kruchymi ciasteczkami własnej produkcji. Okazało

się, że jest sama w domu.

- Mąż razem z córką pojechali do sąsiada  
pożyczyć kosiarkę - wyjaśniła. - Nasza się

wczoraj zepsuła. Ale to niedaleko. - Powinni zaraz  
wrócić. Jeżeli pan chce zaczekać, to

proszę uprzejmie.

- Dziękuję - uśmiechnął się Kozielski. - A  
tymczasem może my sobie chwilę

porozmawiamy.

Bardzo chętnie. Czy chodzi jeszcze o jakieś  
dodatkowe wyjaśnienia w tej strasznej

sprawie?

^Właśnie. Chciałem jeszcze zapytać, czy ta  
dziewczyna, która u państwa mieszkała,

lubiła porządek?

^ O tak! Ada uwielbiała sprzątać. Zamiatała i bez przerwy ścierała kurze nie tylko u

siebie w pokoju, ale i w całym mieszkaniu, aż do przesady. Nieraz jej mówiłam, żeby sobie

nie zadawała tyle trudu. Ostatecznie tutaj na wsi, tak się nie kurzy jak w mieście.

- Dziwne, że taka młoda dziewczyna...

- Otóż to, proszę pana, otóż to... Oboje z mężem dziwiłiśmy się, że taka młoda

dziewczyna tak przesadnie dba o porządek. Widocznie tak wychowują młodzież w tej

Ameryce, nie to, co u nas. Bo to trzeba, proszę pana, od małego dziecko przyuczać do

porządku. A u nas kto tam teraz o to dba. Szkoda gadać.

- Chciałem jeszcze panią zapytać - wtrącił



Kozielski, korzystając z chwilowej przerwy

w tym monologu. - Czy między pani córką a tą dziewczyną nie doszło kiedyś do jakiejś

sprzeczki, do ostrzejszej wymiany zdań.

Małe okrągłe oczka błysnęły niepokojem.

- Jak mam to rozumieć?

- No po prostu, czy się któregoś dnia nie pokłóciły? Skinęła głową.

- Tak - powiedziała z pewnym wahaniem. - Teraz sobie przypominam. Owszem.

Rzeczywiście któregoś dnia Hanka miała pretensję do Ady, że szpera w jej rzeczach.

- Czy rzeczywiście tak było?

- Ja tego nie widziałam, ale chyba Hanka nie mówiłaby na ten temat bez powodu.

Najlepiej jeżeli pan sam o to ją zapyta. O, zdaje się, że przyjechali.

Przed domem rozległ się warkot samochodu.

Grabiecki otrząsnął się już z niedawnego przygnębienia. Nie był człowiekiem, który

długo może się pograżać w ponurych myślach. Mocno potrząsnął wyciągniętą ku sobie dłonią.

- Witam pana kapitana, witam serdecznie. Gość w dom, Bóg w dom, jak to powiadają.

Widzę na stole herbatkę i kruche ciasteczka. To mało, to diablo mało, panie dzieju. A może by tak kropelkę nalewki z czarnych porzeczek?

- Bardzo dziękuję, ale mam mało czasu - uśmiechnął się Kozielski. - Na nalewkę

przyjadę innym razem. A teraz chciałbym zamienić parę słów z panią Kwiecińską - skłonił się

przed Hanką, która stała parę kroków za ojcem.

Grabiecki podkręcił wąsa.

- Ano jeżeli pan kapitan woli naszą Hanię aniżeli nalewkę, to nie ma rady. W każdym

razie trzymam pana za słowo, że na ten kieliszek kiedyś pan do nas wpadnie. Porozmawiamy

sobie o weselszych sprawach aniżeli ostatnio. Bo trzeba panu wiedzieć...

- Może przejdziemy do mojego pokoju - powiedziała Hanka, spoglądając na

Kozielskiego.

Skinął głową.

- Bardzo chętnie. Wolałbym porozmawiać z panią

w cztery oczy.

Kiedy usadowili się już wygodnie w fotelach, Hanka od razu przystąpiła do rzeczy.

- Prosił mnie pan, żebym przejrzała listy, które swego czasu otrzymałam od mego

męża. Zrobiłam to. W żadnym z tych listów nie ma wzmianki o Lucjanie Halpercie.

- A o Adzie Marskiej?

Z szuflady biurka wyjęła dużą, szarą kopertę, z której wysunęła na stolik, przy którym

siedzieli, plik jakichś papierów oraz fotografię.

- Znalazłam to.

Kozielski wziął do ręki fotografię.

- Czyje to zdjęcie?

- Ady.

- Ady? Gdzie pani je znalazła?

Hanka niecierpliwym ruchem odgarnęła spadające jej na czoło włosy.

- To taka trochę dziwna sprawa. Postanowiłam uporządkować rzeczy mojego męża.

Pomyślałam, że może niektóre ubrania mogą się przydać Piotrowi. Zdjęłam także z szafy

walizkę. Wtedy zauważyłam, że jest zniszczona. Ktoś jakby ją nożem kroił. Zaintrygowana

zaczęłam dokładnie oglądać walizkę i okazało się, że ma ona podwójne dno. W tej skrytce

znalazłam fotografię i te jakieś dokumenty, listy, notatki...

Kozielski pochylił się nad papierami i przez dłuższą chwilę studiował je z ogromnym

zainteresowaniem.

- Ciekawe, bardzo ciekawe - powiedział półgłosem, jakby się bał zdradzić jakąś

tajemnicę. - Czy pani wie, kto to jest Artur Morisson?

Energicznie potrząsnęła głową.

- Nie mam pojęcia. Pierwszy raz słyszę to nazwisko.

- A czy w listach pani męża nie spotkała się pani z tym nazwiskiem?

- Nie.

Kozielski wskazał na stolik.

- Chciałbym to zabrać ze sobą.

- Oczywiście. Zarówno te papiery, jak i fotografia są do pańskiej dyspozycji.

Kozielski wsunął wszystko do teczki, którą zazwyczaj nosił ze sobą.

- Dziękuję - powiedział z uprzejmym uśmiechem. - Jestem bardzo wdzięczny za taką

efektywną współpracę. Zanim się pożegnamy, chciałbym jeszcze o coś zapytać.

- Słucham.

- Czy między panią a Adą Marską doszło kiedyś do jakiejś ostrzejszej wymiany zdań?

- Tylko raz żeśmy się posprzeczały. Ada szperała w moich rzeczach.

- Szperała w pani rzeczach?

- Tak. Wróciłam z ojcem od sąsiadów i zobaczyłam, że Ada wychodzi z mojego

pokoju. W szufladach i w szafie było niezupełnie tak, jak ja poukładałam. Ada przepraszała

mnie potem i powiedziała, że szukała swojej apaszki, co było zwykłym kłamstwem. Ja żadnej apaszki nigdy od niej nie pożyczałam.

- Czego więc mogła szukać?

- Nie mam pojęcia.

- Może swojej fotografii? Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Może.

- Ta fotografia wskazywałaby na to, że pani mąż znał tę dziewczynę.

- Niewątpliwie.

- Czy próbowała rozmawiać z panią albo z pani matką na temat pani małżeństwa?

Hanka zachnęła się.

- Skądże. Nie ośmieliłaby się. Kozielski pokiwał



głową.

- Tak. To rzeczywiście mało prawdopodobne. Proszę mi powiedzieć, czy pani mąż

miał jakichś wrogów?

Potrząsnęła głową.

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- A czy pani może zauważyła, że był zdenerwowany, niespokojny?

- Tak. To zauważyłam. Był zdenerwowany, nie mógł spać, zażywał proszki nasenne.

- Czy pani pytała go o powód tego zdenerwowania?

- Oczywiście, ale powiedział mi tylko, że jest wyczerpany nerwowo. Niczego więcej

od niego nie mogłam się dowiedzieć.

Kozielski wstał.

- Dziękuję za rozmowę i za te dokumenty, które pani dla mnie zdobyła. Mogą mi być

bardzo pomocne w mojej pracy. W komendzie zastał Bielaka pogrążonego w studiowaniu

maszynopisów.

- Lipski przysłał dla ciebie akta sprawy tego Kwiecińskiego - powiedział porucznik.

Kozielski zabrał się do przeglądania materiału daktyloskopijnego, który następnie

porównał z odciskami palców zdjętych z siodła Adelajdy Marskiej.

- Bomba! - wykrzyknął. - Wyobraź sobie, że siodła dotykał ten sam facet, który

przeciął przewody hamulcowe Kwiecińskiemu. Miałem cholernego nosa, psiakrew.

## ROZDZIAŁ VI

Edward Makowski miał bardzo dobrą prezencję. Wysoki, szczupły, o pociągłej, lekko

opalonej twarzy, ubierał się, jak przystało urzędnikowi Ministerstwa Handlu Zagranicznego, z

niezwykłą starannością, dbając ze specjalną pedanterią o idealne zawiązywanie krawata i

wbrew współczesnym obyczajom jego spodnie były zawsze znakomicie odprasowane. Ruchy

powolne, troskliwie wyreżyserowane miały mu nadawać cechę specyficznej dystynkcji.

Mówił przyciszonym głosem, akcentując wyraźnie każde słowo.

- Czy znałem Adama Kwiecińskiego? Oczywiście, że go znałem, bardzo dobrze.

Nawet swego czasu zaprzyjaźniliśmy się. No... może to za dużo powiedziane, ale pozostawaliśmy w zażyłych stosunkach.

Kozielski lekko się uśmiechnął. Ubawiło go to drobne asekuranctwo.

- W jakich okolicznościach poznał pan Adama Kwiecińskiego?

Makowski delikatnym ruchem poprawił węzeł krawata.

- Spotkaliśmy się w Stanach, w naszej ambasadzie. Ja wtedy byłem na placówce, a

Adam otrzymał stypendium. Słusznie mu się należało. To był niezwykle zdolny młody człowiek. Tylko niepotrzebnie...

- Co niepotrzebnie? - podchwycił Kozielski.- Niepotrzebnie zadał się z tą milionerką,

a właściwie miliarderką.

- Romans?

- Właśnie. Ona ufundowała to stypendium, a następnie uwiodła Adama. Nie wątpię, że zaimponowało mu jej olbrzymie bogactwo.

- Starsza pani?

- No... nie taka pierwszej młodości oczywiście, ale jeszcze była wtedy bardzo

atrakcyjną kobietą.

- Powiedział pan to w czasie przeszłym. Czyżby już nie żyła?

- Tak, słyszałem, że zmarła mniej więcej rok temu. Podobno zawał.

- I była tak bardzo bogata?

- Odziedziczyła po mężu kolosalną fortunę.  
Miliardy dolarów.

- Czy widział ją pan?

- Tak. Spotkałem ją ze dwa razy na jakichś oficjalnych przyjęciach.

- To zapewne zna pan jej nazwisko.

- Laura Morisson.

Kozielski nie dał poznać po sobie, jakie wrażenie wywarła na niego ta wiadomość.

Powiedział:

- I Adam Kwieciński tak się zakochał w tej kobiecie.

Po śniadej twarzy przesunął się ledwie dostrzegalny uśmiech. Znowu lekkie

dotknięcie krawata.

- Trudno mi doprawdy powiedzieć, czy zakochał się w niej, czy w jej dolarach. A

może i jedno, i drugie. W każdym razie w pewnym momencie bardzo się zaniepokoiłem, że

Adam odmówił powrotu do kraju.

- Ale wrócił.- Tak. Po jakimś czasie. Nastąpiły pewne komplikacje. Nagle Adam

zakochał się w prześlicznej, młodej dziewczynie i zrezygnował z dolarów. Rozszedł się ze

swoją miliarderką.

- A ona?

- Podobno bardzo ciężko to przeżyła. Zresztą... przyznam się panu, że już się tą

sprawą nie interesowałem. W każdym razie byłem bardzo zadowolony, że Adam zdecydował

się wrócić. To był bardzo zdolny młody człowiek. Zapowiadał się na wybitnego fachowca.

Niestety... zginął w wypadku samochodowym.

Kozielski skinął głową.

- Tak. Wiem. Z tego, co pan mówi, wynika, że z tą młodą dziewczyną także mu się

jakoś nie ułożyło.

- Można by tak przypuszczać. A może wrócił do kraju, żeby przeprowadzić sprawę

rozwodową. Przecież był żonaty.

Kozielski machnął ręką.

- Mniejsza z tym zresztą. To w tej chwili nie ma znaczenia. Czy pan może zna

nazwisko tej pięknej dziewczyny, która zrobiła takie wrażenie.



- To jest córka czy też pasierbica właściciela przedsiębiorstwa transportowego. Jeżeli

mnie pamięć nie zawodzi, to nazywa się Halpert. Miałem z nim do czynienia. Chodziło o

przewiezienie mebli i jeszcze czegoś tam. Pamiętam, że solidnie wywiązał się ze swojego

zobowiązania. Mam wrażenie, że to właśnie u mnie w biurze Adam poznał i jego, i tę

dziewczynę.

- To znaczy, że pan ją widział.

- Tak. Rzeczywiście to bardzo piękna i atrakcyjna młoda osoba.- Te romantyczne

przygody Kwiecińskiego musiały narobić trochę szumu na tamtejszym terenie.

- Niewątpliwie. Szczególnie w kołach Polonii Amerykańskiej. Dziwiono się, że Adam

tak łatwo zrezygnował z tych miliardów.

- Wspomniał pan, że pani Morisson odziedziczyła tę ogromną fortunę po mężu.

- Tak przynajmniej słyszałem.

- A czy przypadkiem nie słyszał pan także, w jaki sposób mister Morisson doszedł do

takiej ilości dolarów, do takiego majątku?

- Podobno prowadził handel nieruchomościami, placami, a oprócz tego był jakoby

właścicielem szybów naftowych.

- A czy Halpert kontaktował się z panią Morissonową? Makowski uśmiechnął się i

bezzadnym ruchem rozłożył ręce.

- Za dużo pan ode mnie wymaga. Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Być może,

że czasami korzystała z jego usług przewozowych.

- Czy nie obilo się panu o uszy, że Halpert miał jakieś powiązania z gangsterami?

Makowski w jednej chwili spoważniał.

- Nigdy nie interesowałem się gangsterami ani ludźmi, którzy mają z nimi jakieś

powiązania - powiedział sucho.

Kozielski zdał sobie sprawę, że to ostatnie pytanie było zupełnie niepotrzebne.

Doszedł też do wniosku, że należy zakończyć już rozmowę z panem radcą. Zresztą i tak

zdobył ogromną ilość informacji.

Miał zamęt w głowie. Niełatwo było te wszystkie elementy sklecić ze sobą i ułożyć z

nich jakąś sensowną, logiczną całość. Czuł

potrzebę przedyskutowania z kimś całej sprawy.

Ucieszył się, że w komendzie zastał Bielaka.

- Sprawa się coraz bardziej komplikuje -  
powiedział. - Muszę się z tobą, Romku,  
naradzić.

Porucznik przeciągnął dłonią po czuprynie.  
Uśmiechnął się.

- Widzę, że mam występować w charakterze  
doktora Watsona.

Kozielski potrząsnął głową.

- To zupełnie ściśle sformułowanie. Doktor  
Watson był kibicem. Ciebie traktuję  
jako konsultanta.

- Pochlebiasz mi. A więc wyznaj, co masz na  
wątrobie.

Kozielski wyjął papierosy, które natychmiast wsunął do kieszeni. Odzwyczajał się od

palenia, co mu przychodziło z niezwykłym trudem. Usiadł wygodnie w foteliku stojącym pod

oknem, wyjął notes, długopis i w krótkich, treściwych zdaniach zrelacjonował swoją

rozmowę z Hanką Kwiecińską oraz z radcą Makowskim.

Bielak słuchał z ogromną uwagą. Po chwili milczenia powiedział:

- Pasjonująca opowieść. Nie jestem pewien, czy nawet Sherlock Holmes razem z

doktorem Watsonem zdołaliby wpaść na jakiś pomysł, posługując się metodą dedukcyjną.

Kozielski zapisał coś w notesie.

- Tak. To nie takie proste, ale my musimy jednak

coś wydedukować, nie oglądając się

na Sherlocka Holmesa.

- Na początek nasuwa mi się taka sugestia -  
powiedział porucznik. - Niewykluczone,

że Halpert nie tyle bał się gangsterów, ile za  
wszelką cenę chciał odzyskać dokumenty

kompromitujące Morissona. Kozielski uśmiechnął  
się.

- Rozumowanie chyba zupełnie logiczne. Właśnie  
przed chwilą to zanotowałem jako

punkt pierwszy naszych rozważań. W dalszym  
ciągu, idąc po tej linii rozumowania,

wysnuwamy w konsekwencji wniosek, że Halperta  
coś łączyło z Morissonem czy też z jego

żoną. Właściwie te dokumenty, które jakimś cudem  
zdobył Kwieciński, mogłyby bardzo

poważnie podważyć kolosalną fortunę Morissonów. Z tego wynika, że z jakichś względów

Halpertowi zależało na tym, żeby do tego nie dopuścić.

- A nie jest wykluczone, że Kwieciński zaczął uprawiać małe szantaży i dlatego

musiał zostać zlikwidowany - zauważył Bielik.

Kozielski skinał głowę.

- Właśnie. Będąc przez jakiś czas kochankiem Morissonowej, wszedł w posiadanie

tych kompromitujących dokumentów i postanowił zdobyć parę milionów dolarów i urządzić

sobie dostatnie życie z pasierbicą Halperta. Plany te jednak nie wypaliły. Najprzód zginął w

zaaranżowanym wypadku samochodowym

Kwieciński, a następnie została zamordowana pasierbica Halperta.

- Jeżeli to rzeczywiście ona została zamordowana
- powiedział z powątpiewaniem

Bielak.

Kozielski sięgnął po papierosy i znowu wsunął je z powrotem do kieszeni.

- Otóż to. To jest najtwardszy orzech do zgryzienia w tej całej sprawie. Coraz więcej

elementów wskazujena to, że mamy do czynienia z jakąś koszmarną mistyfikacją.

Zmasakrowana twarz, niezwykle staranne wycieranie kurzów i wreszcie stosunkowo słaba

reakcja Halperta. Jeżeli tak kochał swoją pasierbicę, że aż przywiózł ją do Polski, żeby nie



zrobili jej krzywdy domniemani gangsterzy, to chyba powinien być bardziej przybity, jakoś silniej przeżywać taką tragedię.

- Zdarzają się ludzie umiejący panować nad swoimi uczuciami - zauważył Bielak.

- W konsekwencji takiego rozumowania - snuł dalej swoje rozmyślenia Kozielski -

musimy założyć, że Ada Marska współpracowała z Halpertem w tej ponurej zbrodni.

- To nie ulega wątpliwości - przytaknął porucznik.

- Teraz tylko należy odpowiedzieć na następujące pytania: jeżeli nie pasierbica

Halperta, to kto został zamordowany? Kim jest morderca? Co się stało z Adą Marską? Czy

wróciła już do Stanów? Czy też ukrywa się gdzieś na naszym terenie? I wreszcie: w jakim celu

została zainscenizowana ta makabryczna  
mystyfikacja?

- Zapewne chciałbyś, żebym ci odpowiedział na te  
twoje interesujące pytania -

uśmiechnął się Kozielski.

Bielak skinął głową.

- Nie miałbym nic przeciwko temu. Słuchałbym  
twoich wyjaśnień z niezwykłą uwagą.

To mogę ci obiecać.

Kozielski wyjął z kieszeni paczkę papierosów i w  
zamyśleniu obracał ją w palcach.

- Może byś jednak zapalił? - zaproponował  
Bielak.

- Sytuacja jest nietypowa.

Kozielski zachnął się.

- Nie ma mowy. Rozumiesz? Nie ma mowy.  
Albocześnik ma silną wolę, albo

niejeden papieros i pięcioletniowe zmagania  
poszłyby na marne. Wykluczone. A wracając

do naszej cholernej sprawy, to wiesz, nad czym się  
w tej chwili zastanawiam? Nie możemy

dopuszczać do tego, żeby Halpert zbyt szybko się  
ulotnił.

- Bez dziewczyny nie wyjedzie.

- Nic nie wiadomo. Musimy działać bardzo  
ostrożnie, w rękawiczkach, że się tak

wyrażę, żeby go nie spłoszyć. Musi być absolutnie  
przekonany o tym, że wszystko to, co

mówi i co robi, bierzemy za dobrą monetę. Poza  
tym musimy się zaasekurować, żeby nam

niespodziewanie nie przysnął.

- Ale jak to zrobić? - spytał porucznik.

- Chyba trzeba będzie przyczepić się do jego paszportu, a konkretnie do naszej wizy.

Okaże się, że coś tam nasz konsul załatwił nieformalnie i że trzeba będzie w Ministerstwie

Spraw Zagranicznych wystawić nową wizę. Zresztą niech oni się tam martwią. Nie wątpię, że wpadną na jakiś dobry pomysł.

Bielak pokiwał głową.

- Sądzę, że to jest do zrobienia. Nietrudno chyba będzie znaleźć jakąś biurokratyczną

zahaczkę, która nie pozwoli Halpertowi opuścić nas bez pożegnania. A propos. Czy on ma

zamiar urządzić tutaj pogrzeb, czy też chce zabrać zwłoki do Chicago?

- Jeszcze z nim na ten temat nie rozmawiałem.

- To ważne, bo wywiezienie zwłok wymagałoby dodatkowych formalności, a my

zyskalibyśmy na czasie.

- Niewątpliwie - przytknął Kozielski. - Chociaż i uroczystości pogrzebowe także

odwleką ewentualny wyjazd Halperta.

- Obawiam się, że jak będziesz kombinować z tawizą, to Halpert zacznie coś

podejrzewać - powiedział porucznik.

- Tego się trochę boję. Ale z drugiej strony w żaden sposób nie możemy go wypuścić

przed wyjaśnieniem sprawy. Bo jeżeli została zamordowana któraś z naszych dziewczyn

zamiast tamtej, a Halpert maczał w tym palce...

- Przypuszczamy, że ten sam sprawca zmasakrował dziewczynę, który wykończył

Kwiecińskiego.

- Jeżeli wierzyć daktyloskopii... Odciski palców na siodle są identyczne z odciskami

palców znalezionymi na wozie i w wozie Kwiecińskiego.

- Podejrzewasz Halperta? Kozielski rozłożył ręce.

- Trudno tu coś zdecydowanego powiedzieć, ale, jeżeli mam być szczery, to jakoś nie

mogę sobie wyobrazić Halperta masakrującego twarz młodej dziewczyny. Raczej

przypuszczałbym, że miał współnika.

- Któremu obiecał odpalić harmonię dolarów.

- Oczywiście.

Bielak podrapał się za uchem i powiedział:

- A może za bardzo zasugerowaliśmy się tą mistyfikacją? Może to rzeczywiście

została zamordowana pasierbica Halperta. Wydaje mi się, że musimy obydwie ewentualności

brać równolegle pod uwagę.

- Masz najzupełniejszą rację - zgodził się Kozielski. - Ale cała ta historia robi

wrażenie bardzo szczegółowo wyreżyserowanej. Zmasakrowana twarz, troskliwe wycieranie

wszystkich mebli, żebyśmy nie mogli zdobyć linii papilarnych, które umożliwiłyby

identyfikację zwłok, i wreszcie tajemniczy telefon, który odwołał tego chłopaka do rzekomo

chorej matki. Najwyraźniej chodziło o to, żeby dziewczyna sama pojechała do lasu.

Bielak jednak nie rezygnował.

- A jeżeli jakiś kumpel chciał zrobić głupi kawał i zatelefonował, zmieniając głos.

Mógł to być zwykły zbieg okoliczności.

- Stanowczo za dużo tutaj tych zbiegów okoliczności - zawyrokował Kozielski - ale

oczywiście wszystkie możliwości musimy uwzględnić w naszym rozumowaniu. Jeszcze

niejeden raz będziemy przenicowywać te wszystkie nasze hipotezy. To jest wyjątkowo

zagnatwana sprawa.

- A co zrobimy, jeżeli nie damy rady? Kozielski wzruszył ramionami.

- No cóż... Będziemy musieli podać się do dymisji i zmienić zawód. Ty na przykład



zostaniesz kierownikiem sklepu spożywczego, a ja może założę prywatną kwiaciarnię.

- Wolałbym sklep mięsny - powiedział Bielak. -  
Finansowo to się chyba lepiej

kalkuluje. A jakie powodzenie u klientek. „Panie Romeczku... Pan będzie taki miły i odłoży

mi dwa kilo polędwicy. Jutro mam imieniny męża. Już ja się panu odwdzięczę.” Ale zanim

zacznę handlować wołowiną, może spróbujemy ugryźć jakoś tego Halperta.

- Raczej „rozgryźć” - poprawił go Kozielski. -  
Miałbym ogromną ochotę zdobyć

odciski palców tego „pogrążonego w smutku” ojczyma.

- Zostaw to mnie - Bielak wyraźnie się ożywił. -  
Już ja się tym zajmę.

- Spróbuj. Tylko delikatnie. Nie spłosz faceta.

## **ROZDZIAŁ VII**

Halpert był zbulwersowany.

- To jest skandal, to jest absolutny skandal. Na jakim my świecie żyjemy? To są

niedopuszczalne rzeczy. Dobrze, że pan przyszedł, panie poruczniku, bardzo dobrze. Musicie

mi pomóc.

- Bardzo przepraszam - uśmiechnął się uprzejmie Bielak - ale nie wiem, o co chodzi.

- Prawda. Pan nie wie - zreflektował się Halpert.

- Proszę sobie wyobrazić, że zabrano mi paszport.

- Zabrano panu paszport? - zdumiał się Bielak.

- Kto zabrał?

- Jak to kto? Wasze władze. Milicja. Bielak był coraz bardziej zdumiony.

- Milicja. A to dlaczego?

- Podobno wasz konsulat nieprawidłowo wystawił wizę pobytową. Dopiero w

Ministerstwie Spraw Zagranicznych mają to skorygować. Wczoraj przyszedł do mnie

urzędnik z ministerstwa w towarzystwie oficera milicji i zabrali mi paszport, wydając jakieś

zaświadczenie tymczasowe. Przecież bez paszportu nie mogę wyjechać, nie mogę wrócić do

Chicago. To nie mogli, do wszystkich diabłów, powiedzieć mi od razu na lotnisku o tej

przeklętej wizie. Do tej pory załatwiłbym już te wszystkie idiotyczne formalności. Jak tu

można w ogóle prowadzić jakieś handlowe

interesy z takim krajem...- Niech się pan tak nie

denerwuje - powiedział uspokajająco Bielak. -  
Najwidoczniej kontrola paszportowa na

lotnisku miała jakieś wątpliwości i zadzwonili do  
ministerstwa, żeby to sprawdzić. Nic się

takiego nie stało. Poprawię panu tę wizę albo  
wystawię nową i w porządku. Zapewniam pana,

że to nie potrwa długo. Aleja właściwie nie w tej  
paszportowej sprawie pana odwiedziłem.

Chodzi o zupełnie o coś innego.

Halpert zmarszczył brwi i spojrzał pytająco.

- A o co?

- Moje władze poleciły mi zapytać, czy ma pan  
zamiar zorganizować uroczystości

pogrzebowe tutaj, czy też zabierze pan zwłoki do

Ameryki?

- Oczywiście, że zabiorę zwłoki do Chicago -  
odparł zdecydowanie Halpert. - Już

obstałowałem na ten cel specjalną trumnę.

Bielak położył na stoliku elegancką walizeczkę  
sporządzoną ze skaju.

- W takim razie będzie pan musiał wypełnić  
niezbędne formularze - powiedział

Bielak. - To taka zwykła formalność  
administracyjna - otworzył walizkę i wyjął z niej  
kilka

blankietów. - Proszę.

Halpert wziął do ręki i zaczął je pobieżnie  
przeglądać. Następnie sięgnął do kieszeni

po długopis. Przez chwilę w milczeniu wypełniał  
pracowicie formularze. Kiedy skończył,

podniósł głowę i spytał:

- Czy są jakieś szanse odnalezienia mordercy mojej pasierbicy?

- Śledztwo jest w toku - odparł wymijająco Bielak.

- Rozumiem, że przed zakończeniem dochodzenia nie wolno panu udzielać żadnych

informacji, ale nie może się pan dziwić, że ta sprawa bardzo mnie interesuje. Bielak pokiwał głową.

- Doskonale rozumiem. Ogólnie mogę panu powiedzieć, iż podejrzewamy, że ta

zbrodnia jest dziełem jakiegoś zbrojeńca. Do pana Grabieckiego przychodzi taki

niedorozwinięty osiłek. Pomaga mu w gospodarstwie. Wzięliśmy go pod obserwację.

- To bardzo prawdopodobne. To zmasakrowanie twarzy wskazywałoby na jakieś zboczone, patologiczne instynkty.

Bielak wstał.

- Dziękuję panu za rozmowę i przepraszam, że zabrałem panu tyle czasu.

- Niech pan nie zapomni o moich formularzach - powiedział Halpert. Wziął ze stolika

walizeczkę i podał ją porucznikowi. - A nawiasem mówiąc, jajuż raz wypełniłem takie

formularze. Były drukowane na zupełnie innym papierze. Te, które pan mi przyniósł, robią o

wiele solidniejsze wrażenie.

- Najwidoczniej inne wydanie - uśmiechnął się porucznik. - Z papierem to od dawna

mamy poważne kłopoty, i to w najróżnorodniejszych dziedzinach.

Akcja daktyloskopijna Bielaka nie dała spodziewanych rezultatów. Odciski palców

pozostawione przez Halperta na walizeczce oraz na specjalnie na ten cel przygotowanych

formularzach nie miały nic wspólnego z liniami papilarnymi znalezionymi na wozie Adama

Kwiecińskiego i na siodle Adelajdy Marskiej.

- Głupia sprawa - powiedział Kozielski, kręcąc z niezadowoleniem głową. - Bardzo

głupia sprawa. Z tego, co mówisz, wynika, że Halpert coś podejrzewa. W tej sytuacji może i

historia z tą wizą może mu się wydać wątpliwa. Jeżeli to doświadczony

gangster, przeprowadzający jakąś akcję na naszym



terenie, to nie jest wykluczone, że posiada

drugi paszport na inne nazwisko. Wystarczy, że się ucharakteryzuje, żeby się upodobnić do

fotografii na tym drugim paszporcie, i już go nie ma.

- A wiza? - spytał Bielak. Kozielski machnął ręką.

- Nie bądź dzieckiem. Tego typu cwaniacy bez trudu zdobywają fałszywe wizy,

fałszywe paszporty, fałszywe dolary...

- Może za bardzo galopujesz - powiedział Bielak.

- Nie mamy właściwie żadnych dowodów na to, że Halpert jest gangsterem. Może to

najuczciwszy człowiek pod słońcem i tylko nasza zdegenerowana wyobraźnia maluje go w

tak czarnych kolorach.

- Masz rację - przyznał Kozielski. - Trochę przesadziłem. Tym niemniej wydaje mi

się, że trzeba mu będzie przydzielić jakiegoś opiekuna.

- Byle nie tego, który się opiekował jego pasierbicą

- uśmiechnął się porucznik.

Stukanie do drzwi. Wszedł sierżant Michalak.

- Obywatelu kapitanie, doprowadziłem obywatelkę Woźnicką, która zameldowała u nas w komendzie o zaginięciu.

- Wprowadzić - rozkazał Kozielski, a zwracając się do Bielaka, powiedział

przyciszonym głosem: - Nasza akcja poszukiwania zaginionych dziewczyn daje jednak pewne

efekty.

Bielak skrzywił się niechętnie.

- Do diabła tam. Już z dziesięć przypadków przerobiłem. Wszystko na nic. Albo

krzywa, albo garbata, albo za niska, albo za gruba, albo wreszcie za młoda. Znowu wszedł

sierżant Michalak.

- No i co? - spytał Kozielski.

- Obywatelu kapitanie, obywatelka Woźnicka zaraz wejdzie. Właśnie kończy się

malować. Przypuszczała, że przyjdzie jej dłuższy czas zaczekać.

Wreszcie weszła.

Nie przypuszczali, że zobaczą tak piękną kobietę. Wysoka, świetnie zbudowana,

szczupła, ale nie chuda, miała w sobie coś  
dostojnego w sposobie poruszania się. Twarz

owalna o delikatnie rzeźbionych rysach, okolona  
ciemnymi, puszystymi włosami,

przypominała obrazy z okresu renesansu. Ubrana  
była bardzo gustownie z dyskretną

elegancją.

Kozielskiemu mimo woli zaschło w gardle.

- Zechce pani spocząć - powiedział nieco  
schrypniętym głosem.

Usiadła i patrzyła na niego oczami Madonny. „Weź  
się w garść, chłopie - pomyślał -

przecież jeszcze ładniejsze widziałeś w kinie.”

- Więc pani zameldowała na Wilczej o zaginięciu  
koleżanki czy przyjaciółki?

- Tak. Mieszkam na Kruczej i dlatego...

- Rozumiem. Może mi pani poda imię i nazwisko zaginionej.

- Izabela Borecka.

- Czy pani z nią mieszka?

- Tak.

- Czy pani gdzieś pracuje?

Spojrzała na niego jakby nieco zaskoczona. -  
Właściwie to... Poszukuję jakiejś

odpowiedniej pracy, a na razie...

- Dobrze, już dobrze - przerwał Kozielski. -  
Proszę się nie trudzić. Czy pani koleżanka,

Izabela Borecka, również poszukuje odpowiedniej  
pracy? Uśmiechnęła się. Miała poczucie

humoru.

- Można by to tak określić.

Kozielski ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Dlaczego pani twierdzi, że Izabela Borecka zaginęła?

- Bo od dłuższego czasu nie daje znaku życia.

- Mogła przecież pójść gdzieś do znajomych. Zabawili się. Jak jest przyjemny nastrój,

czas szybko mija. Albo może poszła do swojego przyjaciela.

- To nie wchodzi w rachubę. Iza zakochała się w jakimś Amerykaninie. Miała

wyjechać z nim do Stanów.

- Miała pojechać z nim do Stanów? -

zainteresował się Kozielski. - Czy pani widziała

tego człowieka?

- Nie. Iza tylko mi o nim opowiadała. Była nim zachwycona.

- To może z nim rzeczywiście wyjechała?

- Tak bez pożegnania? Zresztą zabrałaby przecież swoje rzeczy. Będę z panem

zupełnie szczerą - rzuciła przelotne spojrzenie w kierunku Bielaka i zniżyła głos. - Bo widzi

pan... Wynikły ostatnio pewne komplikacje i bardzo się boję...

- Jakie komplikacje?

- Dawny przyjaciel Izy terroryzuje ją. To człowiek bezwzględny i bardzo

niebezpieczny. Jak wpadnie w gniew, może nawet zabić. Boję się o Izę.

- Może mi pani podać imię i nazwisko tego niebezpiecznego typa.

- Zenon Gołaj.

- Gdzie mieszka? Wzruszyła niezbyt wytwornie ramionami.

- Nie mam pojęcia. Nie znam jego obecnego adresu. On się ciągle przeprowadza.

- To może pani mi opisać, jak on wygląda.

- Niezbyt ciekawie wygląda. Nigdy nie mogłam się nadziwić, że Iz... Czy może mi

pan dać kawałek papieru?

- Proszę - Kozielski posunął po biurku blok. Wyjęła z torebki mazak i zaczęła

rysować. Patrzył na nią zaskoczony.

- O! Widzę, że pani ma zdolności artystyczne.



Uśmiechnęła się melancholijnie.

- Chciałam się dostać do Akademii Sztuk Pięknych, ale mnie nie przyjęli. Nie zdałam

- skończyła rysować. - Taki jest właśnie Zenon.

Kozielski wziął kartkę papieru do ręki i skrzywił się.

- Buziuchna rzeczywiście niezbyt zachwycająca. Ale pani ma prawdziwy talent. To

jest świetny rysunek. Szkoda...

- Dajmy temu spokój - przerwała energicznie. - Nie lubię cofać się w przeszłość.

- Nigdy nie jest za późno.

- Czy potrzebne są jeszcze jakieś wyjaśnienia w związku ze zniknięciem Izy?

Skinął głową.

- Tak. Chciałbym wiedzieć, czy przed zniknięciem pani przyjaciółki doszło między

nią a tym Zenonem do jakiejś scysji?

- Oczywiście, była straszna awantura o tego Amerykanina. Zenon pobił Izę.

- Co było potem?

- Potem Zenon wyszedł, trzasnąwszy drzwiami, a Iza, po pewnym czasie, także

wyszła. Miała się spotkać z tym swoim Haroldem. Mieli pójść na kolację. Zdaje się, że do

Grand Hotelu.

- I podczas tej kolacji zapewne opowiedziała narzeczonemu o tej awanturze, a on

postanowił ją ukryć w jakimś bezpiecznym miejscu.

- Zawiózł ją do swojej siostry, do Otrębus.
- A skąd to pani wie? - zdziwił się Kozielski.
- Bo Iza telefonowała do mnie.
- Z Otrębus?

- Tak. Prosiła, żebym się nie niepokoiła, że jest zupełnie bezpieczna i że niedługo

wylatuje z Haroldem do Stanów. Ale powiedziała, że przyjedzie się pożegnać i że zabierze

rzeczy. Przecież ma całą furę pięknych sukien i płaszcze, i bieliznę...

- Czy podała może numer telefonu w Otrębusach?
- Tak. Próbowałam dzwonić, ale mi powiedziano, że taka tam nie mieszka.
- Czy może mi pani podać numer tego telefonu?

- Oczywiście.

Wyjęła z torebki notes. Kozielski skwapliwie zanotował.

- Czy ma pani może fotografię Izabeli Boreckiej?  
Skinęła głową.

- Przyniosłam jej ostatnie zdjęcie. Przypuszczałam, że się może przydać.

Kozielski przyjrzał się uważnie fotografii.

- Piękna dziewczyna - powiedział - niebrzydka. -  
Zabrzmiało to niezbyt

entuzjastycznie. - Blondynka?

- Tak.

- Tleniona czy naturalna?

- Ale skądże tleniona? Oczywiście, że naturalna. - I mówiła, że ten Amerykanin chce ją

zabrać do Stanów.

- Tak. Wspominała nawet coś o karierze filmowej.

- To może już wyjechali? Energicznie potrząsnęła głową.

- Niemożliwe. Iza na pewno przyszłaby się z nami pożegnać, a poza tym nie

zostawiłaby swoich rzeczy. Mówiłam już, że miała dużo bardzo ładnych sukien. Na to nie

żałowała pieniędzy. Lubiała się ubrać.

- A czy umiała jeździć konno? - spytał niespodziewanie Kozielski.

- Jeździć konno? Nie wiem, ale chyba nie. Grała w tenisa, pływała, jeździła na

nartach, ale konno... Nie wydaje mi się.

- No dobrze - powiedział Kozielski, chowając

długopis do kieszeni. - Zajmiemy się

sprawą zaginięcia Izabeli Boreckiej. To dobrze, że nas pani powiadomiła. To wszystko na

razie. Dziękuję.

Skłoniła głowę i wyszła tym samym sprężystym, pełnym godności krokiem. Bielak

gwizdnął przeciągle.

- Fantastyczna cizia. Walutowa. Zdaje się, że ci mocno wpadła w oko. Uważaj. Nie

próbuj ją motać. A poza tym nie zapominaj, że nie należy spraw służbowych mieszać z dupą.

Kozielski nie zareagował. Nie lubił trywialności. Starannie złożył notatki do szuflady

biurka, przygładził włosy i powiedział:

- No więc tak... Ja przejadę się do Otrębus, a ty się

zajmiesz znalezieniem tego

alfonsiaka.

Porucznik nie zgłaszał sprzeciwu.

- Dobra. Jak wiesz, mam pewne rozeznanie w tychsferach. Dasz mi ten rysunek i

chyba nie będzie to takie trudne. Czy sądzisz, że zniknięcie tej dziewczyny łączy się w jakiś

sposób z morderstwem?

Kozielski nie od razu odpowiedział. Przez chwilę siedział zamyślony, bębniąc palcami

po blacie biurka.

- Ta Izabela Borecka mogłaby występować w charakterze pasierbicy Halperta. Ten

sam wzrost, ta sama figura, blondynka...

- I została zamordowana zamiast tamtej.
- Nie możemy wykluczyć takiej ewentualności.
- Ale, na miłość boską, dlaczego? - zdenerwował się Bielak. - W jakim celu?

Kozielski uśmiechnął się.

- Mogę cię zapewnić, że chciałbym to wiedzieć. Na razie jednak nie jestem

jasnowidzem. Zresztą ta zamiana to tylko nasza zupełnie luźna hipoteza. Może rzeczywiście

została zamordowana pasierbica Halperta.

- Warto by się zająć tym amerykańskim amantem, który zawrócił dziewczynie w

głowie karierą filmową.

- Oczywiście. Wiemy, że ma na imię Harold. Znalezienie właścicieli telefonu, z



którego dzwoniła

Izabela Borecka, nie nastęczało większych trudności. Pani Zalewska była kobietą

drobną, bardzo ruchliwą, o dużych, ciemnych oczach błyszczących niespożytą energią

życiową. Wizyta przystojnego oficera milicji najwyraźniej ją podekscytowała.

- Tak. Mój brat przywiózł do mnie swoją znajomą i prosił, żebym ją przenocowała.

Mam tu dużo miejsca, więc to dla mnie żaden kłopot.

- Czy pani sama tu mieszka?

Pytanie widocznie było niezbyt wygodne, bo poruszyła się niecierpliwie i odgarnęła

spadające jej na czoło włosy.

- W zasadzie mieszkam z mężem, ale on przeważnie przebywa za granicą.

- Podróżuje?

- Pracuje w handlu zagranicznym i często wyjeżdża. Ostatnio wyjechał na placówkę handlową do Belgii.

- I nie zabrał pani ze sobą?

- Nie znoszę podróżować. Lubię mój dom, mój ogród. Zresztą to są takie zupełnie prywatne sprawy.

- Oczywiście, oczywiście - przytaknął z ożywieniem Kozielski. - Czy ta dziewczyna,

którą przywiózł pani brat, długo tu pozostawała?

Spojrzała na niego badawczo. W ciemnych oczach błysnął niepokój.

- A skąd pan wie, że to była dziewczyna? Przecież powiedziałam, że mój brat

przywiózł do mnie swoją znajomą.

Kozielski trochę się speszył. Palnął gafę.  
Uśmiechnął się.

- Nie sądzę, żeby pani brat podróżował z sędziwymi staruszkami.

- Znajoma brata spędziła u mnie tylko jedną noc.  
Czy pan prowadzi jakieś

dochodzenie w sprawie mojego brata?

Kozielski postanowił zagrać w otwarte karty.

- Dziewczyna, która nocowała u pani, zniknęła i dlatego pozwoliłem sobie panią

niepokoić.

- Harold lada dzień miał z nią odlecieć do Stanów.

Może pojechali.

- I brat pani nie pożegnałby się z panią?

- Och! On jest taki narwany i zupełnie nie przywiązuje wagi do wszystkich form.

Niewykluczone, że po prostu wsiedli do samolotu i odlecieli. Kozielski wyjął z portfela fotografię.

- Czy to ta dziewczyna nocowała u pani? Skinęła głową.

- Tak. Dobre zdjęcie.

- Czy mogłaby mi pani powiedzieć, jak się nazywa pani brat?

- Harold Turner.

- I mieszka stale w Stanach Zjednoczonych?

- Tak. W Chicago.

- I przyjechał tu, żeby panią odwiedzić?

- Nie tylko. Ma także jakieś interesy do załatwienia. Nosi się z zamiarem założenia

tutaj polonijnej spółki handlowej. To podobno teraz bardzo modne.

- Gdzie pani brat się zatrzymał?

- W Victorii.

- A dlaczego nie u pani?

- On nie lubi wsi, nie lubi tego domu, tego ogrodu, który ja ubóstwiam.

- Czy ta dziewczyna korzystała z pani telefonu?

- Raczej nie. Nie prosiła mnie o to. Mogła oczywiście telefonować, kiedyja

podlewałam ogród. Miałam w tym roku bardzo piękne truskawki. A teraz szykuję się do zbioru winogron.

Kozielski wstał.

- Nie będę już pani zabierał czasu. Dziękuję za rozmowę.

Był już w drzwiach, kiedy go zatrzymała.

- A dla ścisłości pragnę pana poinformować, że Harold nie jest moim rodzonym

bratem, a przyrodnim. Mieliśmy różnych ojców. Po tej rozmowie zaczęły się poszukiwania po

wszystkich warszawskich hotelach. Bez skutku. Harold Turner nie zameldował się ani w

Victorii, ani w żadnym innym hotelu. Nie zgłaszał się też do biur dysponujących prywatnymi

kwaterami. A więc skłamał, że zatrzymał się w Victorii. Najwidoczniej był pewien, że siostra

nie będzie go tam szukać. Sprawa zaczynała się poważnie komplikować. Ten amerykański

handlowiec stawał się coraz bardziej podejrzany. Kozielski sprawdził na lotnisku, zawiadomił

punkty graniczne, zrobił wszystko, żeby uniemożliwić Ternerowi ulotnienie się bez

pożegnania z Polski. Właściwie do tej pory nie wiedział, o co podejrzewa tego człowieka, ale

cała ta historia zaczynała coraz bardziej brzydko pachnieć i osoba Harolda Ternera coraz

bardziej kojarzyła się z dziewczyną o zmasakrowanej twarzy.

Bielak na medal wywiązał się ze swojego zadania. Pogadał sobie z tym i z owym i

przy pomocy portretu naszkicowanego przez dolarową panienkę do towarzystwa odnalazł

Zenona Gołaja.

Kozielski przez dłuższą chwilę przyglądał się w milczeniu tej kwadratowej twarzy,

która w tej chwili była ponura, niemal groźna.

Gołaj poruszył się niecierpliwie. Pod jego potężnym ciałem wysłużone krzesło

zaskrzypiało ostrzegawczo.

- Po jaką cholereę żeście mnie tu sprowadzili? Ja nic nie zrobiłem. Odsiedziałem swoje

i cześć. Jestem w porządku. O co wam chodzi?

- Tutaj ja zadaję pytania - przerwał energicznie Kozielski. - Czy znacie Izabelę

Borecką?



- Co mam nie znać. Jasne, że znam. To moja dziewczyna.- Stręczyliście ją do

nierządu?

- Jaki tam nierząd, panie władzo. Jak chciała sobie perfumy kupować w Peweksie, to

się kurwiła za dolary. A mnie co do tego.

- Gdzie ona teraz jest?

- A czort ją wie. Może gdzieś się podbawia z tym swoim Amerykańcem.

- Widzieliście go?

- Nie tylko, że go widziałem, ale mi jeszcze w szczękę dosunął. Będzie u mnie ciężko

przegrany. Ja swojego nie daruję.

- Jak on wygląda?

- Ano zwyczajnie. Facet jak facet.

- Wysoki, niski?

- Chyba że wysoki. Jakby był niski, toby mnie nie sięgnął.

- Pamiętacie jego twarz?

- Jasne. Ja tej mordy do śmierci nie zapomnę. Kozielski postanowił wykonać portret

pamięciowy. Dopiero po wielu próbach Gołaj wykrzyknął:

- Całkiem jak on. Tylko żeby mu jeszcze gęściejsze włosy i jasne ma włosy, nie takie

ciemne.

- A szeroki w ramionach? - spytał Kozielski.

- Pewnie, że szeroki. Mocny chłop. Jakby nie był mocny, toby mnie nie tego...

Kozielski polecił powielić portret pamięciowy i rozesłać na terenie całego kraju.

Postanowił za wszelką cenę znaleźć Harolda Ternera.

## **ROZDZIAŁ VIII**

Piotr nie mógł sobie znaleźć miejsca. Źle sypiał, zmizerniał, stracił apetyt. Obraz

zmasakrowanej twarzy Ady nieustannie go prześladował. Nie poczuwał się wprawdzie do

winy, ale to była jednak dziewczyna powierzona jego opiece, a on... Dowiedziawszy się, że

matka jest w szpitalu, nie mógł nie pojechać. Kto telefonował? Cała ta sprawa robiła wrażenie

zorganizowanej akcji. Komuś zależało na tym, żeby zostawił Adę samą. Ale przecież ten ktoś

nie miał pewności, że pojedzie do lasu. Mogła

równie dobrze pozostać w domu. Czyżby Ada

umówiła się z mordercą? Gubił się w najrozmaitszych domysłach. Cała ta sprawa wydawała

mu się bardzo niejasna, tajemnicza. „Dlaczego zmasakrował twarz?” - myślał. Wjakim celu?

Cel mógł być tylko jeden - utrudnienie identyfikacji. A jeżeli tak, to nasuwa się logiczne

pytanie, czy zamordowaną dziewczyną była rzeczywiście Ada? Mistyfikacja? Jakaś

koszmarna mistyfikacja? Nie wiedział, co robić. Nie mógł przecież tak siedzieć beczynnie.

Chciał działać. Ale jak? Nie miał najmniejszego pojęcia. Przyszło mu na myśl, że może

powinien oddać Halpertowi te dolary. Nie zasłużył na zapłatę. Nie wywiązał się należycie ze

swojego obowiązku, ale tak się złożyło, że nie mógł inaczej. Żał mu było tych dolarów. Tyle

potrzebnych rzeczy mógł sobie kupić albo pojechać na jakąś wycieczkę. Tę noc postanowił

spędzić jeszcze u wujostwa. Nie chciało mu się jechać do Wołomina. Matka zaraz zaczęłaby

go pocieszać, namawiać do jedzenia... A on nie miał ochoty ani najedzenie, ani na słowa

pociechy. Musiał sam się jakoś z tym wszystkim uporać. A może pójść do tych milicjantów?

Może im się na coś przyda? Ale zaraz odrzucił tę myśl. Oni tam mają swój ustalony tryb

działania, swoje rutyniarskie metody.

Niepotrzebna im niczyja pomoc. Tylko by się wygłupił.

Położył się wcześniej. Miał dosyć rozmów z wujem i z ciotką. Zresztą i oni wcześniej

szli spać. O świcie wstawali do roboty. Nie mógł zasnąć. Przewracał się z boku na bok.

Skłębione myśli huczały w głowie. Pod powiekami tkwił uporczywie obraz zmasakrowanej

twarzy. Dopiero już dobrze po północy zasnął gorączkowym, niespokojnym snem. Nagle

zbudziło go pukanie do okna. Usiadł na tapczanie, sądząc, że mu się przyśniło. Pukanie

powtórzyło się jednak, tym razem mocniejsze. Zerwał się i podbiegł do okna. Noc była

widna, księżycowa.

- Piotr... Piotr... Peter! - Ada!

Błyskawicznie wciągnął dżinsy, włożył buty i na pidżamę narzucił sweter. Pośpiesznie

otworzył okno i wyskoczył.

- Ada! To ty żyjesz?!

- Przecież widzisz, że żyję. Masz tu motor?

- Mam.

- Szybko! Jedziemy! Na miłość boską! Szybko! On go zabije!

Piotr już się otrząsnął z pierwszego wrażenia.- Kto kogo ma zabić?

- Halpert Harolda. Pośpiesz się. Wyprowadził motor z szopy.

- A ty czym przyjechałaś?

- Nie zadawaj głupich pytań. Taksówką. Jedźmy już. Musisz go ocalić. Błagam!

- Dokąd mamy jechać? - spytał, siedząc już na siodełku.

- Do Serocka. Wiesz, gdzie jest Serock?

- Chyba że wiem.

- To jedź szybciej.

- Nie mogę szybciej. Widzisz, jakie tu dziury. Chcesz, żebym rozwalił motor. Jak

wyjedziemy na szosę, to dodam gazu.

Mocniej przytuliła się do jego pleców i zaczęła płakać.

- Jeżeli on go zabije, to nie ma dla mnie życia. To koniec. Ja go kocham. Szybciej!

Piotr! Szybciej!

Chciał pytać, dowiedzieć się, co to wszystko znaczy, ale nie mógł odwrócić się od

kierownicy, oderwać oczu od drogi. Poświata księżycowa rzucała zdradliwe cienie. Wreszcie

wypadli na szosę. Piotr dodał gazu.



- Prędej! Prędej! - krzyczała Ada.

- Nie mogę prędej - odkrzyknął. - To nie jest wyścigowa maszyna.

W milczeniu zajechali do Serocka. Ada powiedziała, którędy ma jechać. Piotr nie znał tego motelu. Nocny portier spojrział na nich niechętnie.

- Nie ma miejsc - powiedział. - Wszystko zajęte. Ada potrząsnęła głową.

- Nam nie chodzi o pokój. My do pana Ternera.

- Pan Turner wyszedł.- Sam?

- Nie, z drugim. Pan Turner był taki pijany, że tamten musiał go podtrzymywać. O

mało nie upadł. Bałem się, że mi zarzyga cały hol. Ale jak ktoś płaci twardą walutą, to może

sobie i rzygnąć. Peweksowski gość.

- Jak wyglądał ten drugi?

- Wysoki, postawny, z czarną brodą. Zdaje mi się, że miał okulary.

- Dawno wyszli?

- Nie tak dawno. Z pół godziny temu. Może trochę więcej. Państwo tu nie mają co

stać. Może pan Turner nie wróci i do rana.

- Ależ ja tu mieszkam! - oburzyła się Ada. Portier przyjrzał się jej uważnie.

- Faktycznie pani tu mieszka z panem Turnerem. Panią wpuszczę, ale tego faceta to

nie.

Ada pociągnęła Piotra za rękę.

- Chodź.

- Dokąd? - spytał.

- Musimy ich znaleźć... Musimy ich znaleźć...

Może Haroldjeszcze żyje. Na pewno

ten łajdak dał mu jakiś narkotyk. Harold nigdy się nie upija. Przyprawił sobie brodę, włożył

okulary... No ruszże się. Musimy ich...

- Może mi wreszcie wytłumaczysz, co tu się właściwie dzieje. Dlaczego twój ojczym

miałby zabić tego... - zdenerwował się Piotr.

Szarpnęła go energicznie.

- Nie czas teraz na tłumaczenia. Musimy ratować Harolda. Musimy ich znaleźć.

Wzruszył ramionami.

- Jak ty sobie to właściwie wyobrażasz? Gdzie ja, po nocy, mam szukać jakiegoś

Harolda? Jeżeli był w takim stanie, to nie mogli daleko odejść.

- To prawda - przyznał. - Nie mogli daleko odejść. Ano, spróbujemy ich poszukać.

Jeżeli ten z brodą nie przyjechał tu wozem i nie wywiózł go gdzieś. To także możliwe.

- Oczywiście, że przyjechał wozem. Przecież na piechotę tu z Warszawy nie przyszedł.

- Ale jeżeli przyjechał tu, żeby zabić tego Harolda, to daleko go nie zawoził. Jakbym

ja chciał kogoś ciuknąć, to tylko nad zalew. Idealne miejsce.

- To szukajmy nad zalewem. Ratuj go, Piotr! Ratuj

go!

Wsiedli na motor.

- Prędeż! Prędeż! - niecierpliwiła się Ada.

Szukali wiele godzin. Piotr nie był

zachwycony tym zajęciem, ale nie mógł przecież zostawić dziewczyny samej. Zaczęło świtać.

Stracił już całkowicie nadzieję, że coś wyniknie z tych poszukiwań, kiedy Ada nagle

krzyknęła.

- Patrz!

Leżał twarzą do ziemi. Na jasnej marynarce plama zakrzepłej krwi.

- Łotr! Zastrzelił go!

Piotr pochylił się i potrząsnął głową.

- Nie. To nóż - dotknął trupa. - Już zimny. Podniósł się i wziął Adę za rękę.

Odepchnęła go energicznie. Nie płakała. Spokojnym rzeczowym głosem spytała:

- Czy u was jest kara śmierci?

Kozielski wspomagany przez porucznika Bielaka zabrał się energicznie do roboty

wraz z całą ekipą śledczą dochodzeniową. Zabezpieczono odlewami gipsowymi ślady stóp i

ślady bieżników znalezionych w pobliżu zamordowanego, przeszukano dokładnie teren i

oczywiście lekarz dokonał wstępnej obdukcji zwłok. Nie ulegało wątpliwości, że Harold

Terner został pchnięty wąskim, długim nożem, który uszkodził prawą komorę serca.

Kozielski podziękował lekarzowi i polecił

fachowcom od daktyloskopii zdjęć bardzo

dokładnie odciski linii papilarnych z obu rąk denata.

- To on go zabił! To on go zamordował! -  
powtarzała Ada. - Będzie wisiał. Powiem,

powiem wszystko.

- Przestań - próbował uspokoić ją Piotr. Bez  
skutku. Wreszcie Kozielski stracił

cierpliwość. Dotknął ramienia Bielaka.

- Odwieź tych dwoje do komendy. Nie są tu  
potrzebni.

Mimo bardzo starannego przeszukiwania terenu,  
narzędzia zbrodni nie znaleziono.

Znaleziono natomiast portfel z pieniędzmi, ale bez  
żadnych dokumentów. Nawet biletu

wizytowego nie było pomiędzy dolarowymi banknotami.

Kozielski raz jeszcze z pedantyczną dokładnością przeszukał wokół wszystkie zarośla,

a następnie polecił zabrać zwłoki.

Halpert był zupełnie spokojny, nawet bardzo spokojny.

- Nie rozumiem, w jakim celu pan mnie tutaj zaprosił.

- Pańska pasierbica oskarża pana o zamordowanie niejakiego Harolda Ternera.

Halpert zdumiał się, podnosząc brwi do góry.

- Moja pasierbica? To jakieś nieporozumienie. Przecież wszyscy wiemy, że moja pasierbica została zamordowana.



Kozielski rozłożył ręce.

- Okazuje się, że pańska pasierbica nie została zamordowana.

- Czyżby pojawił się sobowtór?

- Nie. To nie sobowtór. Nie cieszy się pan, że pańska pasierbica żyje?

Halpert skwapliwie skinął głową.

- Oczywiście. Bardzo bym się cieszył, ale nie mogę w to uwierzyć.

- Może wobec tego przeprowadzimy małą konfrontację - zaproponował Kozielski i

skinął na Bielaka, który po chwili wprowadził do pokoju Adę.

- Ty draniu! Ty morderco! Ty łotrze!

Gdyby nie energiczna interwencja Bielaka,

rzuciłaby się z pięściami na swojego

ojczyrna. Halpert wzruszył ramionami.

- Nie znam tej osoby. To nie moja pasierbica. To jakaś oszustka albo wariatka. Nie

rozumiem, dlaczego mnie pan naraża na takie niemiłe sceny?

Kozielski zwrócił się do porucznika.

- Przyprowadź tego chłopaka.

Piotr był blady, oczy miał podkrążone, patrzył niespokojnie na milicjantów.

- Czy to dziewczyna, którą mieliście się opiekować? - spytał Kozielski.

- Oczywiście.

- Adelajda Marska?

- Adelajda Marska! Ada! Kozielski spojrział na Halperta.

- No i co pan na to? Halpert poruszył się niecierpliwie.

- Powtarzam, że nie znam tej dziewczyny. To jakaś afera, jakiś szantaż. Aresztujcie tę

dziewczynę, która podszywa się pod moją pasierbicę.

- Czy pani przyjechała do Polski ze Stanów? - spytał Kozielski.

Skinęła głową. - Tak.

- To zapewne posiada pani paszport.

- Oczywiście.

- Czy ma go pani przy sobie?

- Mam.

- Proszę mi pokazać.

Sięgnęła do torebki, wyjęła paszport i podała go Kozielskiemu. Otworzył i przeczytał:

„Ewa Lepecka”.

- No, widzi pan! Widzi pan! - wykrzyknął triumfująco Halpert. - To oszustka.

Chciała znowu rzucić się na Halperta. Bielak ją przytrzymał.

- To on zabrał mi mój prawdziwy paszport! To on! Łajdak!

- Ależ to Ada. Słowo honoru! - wtrącił się Piotr. Kozielski pokręcił głową.

- Zobaczymy. To wszystko musi się wyjaśnić. Na razie zatrzymam ten paszport -

skinął na Bielaka. - Wyprowadź ich.

Kiedy zostali sami, Halpert poprawił się na krześle i zapalił papierosa.

- To niesłychane, po prostu niesłychane. O co im chodzi? Dlaczego ta dziewczyna

chce uchodzić za moją pasierbicę?

- Pasierbica czy nie pasierbica, ale ona twierdzi, że pan zamordował Harolda Ternera.

Co pan o tym sądzi? - spytał Kozielski.

Halpert energicznym ruchem zgasił papierosa w popielniczce.

- To jest kompletna bzdura wyssana z palca. Nie znam żadnego Ternera i nigdy nie

znałem. Dlaczego miałbym mordować jakiegoś nieznanego człowieka. Przecież to

nonsens. Nie wierzy pan chyba, że bym ja...

Kozielski uśmiechnął się.

- Jeżeli mam być szczery, to w tej chwili nie bardzo wiem, w co mam wierzyć i komu

mam wierzyć.

- Nie jestem mordercą.

- Sądzę, że w najbliższym czasie pomówimy jeszcze na ten temat. Musimy

dysponować dostatecznym materiałem dowodowym. A propos. Czy pan ma tutaj swój wóz?

- Nie. Wynająłem. Taksówkę nie zawsze można znaleźć.

- Proszę, żeby pan w każdej chwili był do naszej dyspozycji.

- To znaczy?

- To znaczy, żeby pan nie opuszczał Warszawy, żeby pan nie wyjeżdżał ani do innego

miasta, ani do Chicago. I niech pan nie próbuje ulotnić się, korzystając z fałszywego

paszportu i przyklejając sobie brodę i wąsy.

Zaręczam panu, że taki numer by nie przeszedł.

Halpert zachnął się.

- Coś podobnego! Pan mnie obraża. Jak pan mnie traktuje? Za kogo pan mnie ma?

- Jeżeli pan się czuje obrażony, proszę o przebaczenie - uśmiechnął się Kozielski. - Ja

tak tylko na wszelki wypadek, żeby nie było nieporozumień. Sekcja zwłok wykazała dużą

dawkę środka usypiającego.

- Dosypał mu tego świństwa do jakiegoś picia, zaciągnął w krzaki i tam go ciuknął -

powiedział Bielak.

Kozielski nie miał ochoty wdawać się teraz w rozmowy na temat: co, kto, komu

dosypał do kawy czy herbaty. Spieszył się. Wiedział, że muszą działać szybko. Wziął wóz i pojechał na Kruczą.

Zaskoczyłyje te niespodziewane odwiedziny. Iwona była w negliżu. Pośpiesznie narzuciła szlafrok.

Maja była zupełnie opanowana. Wskazała gościowi fotel.

- Proszę, niech pan siada.

Kozielski usiadł i przez chwilę przyglądał się dziewczynom. Właściwie obydwie

podobały mu się, chociaż każda reprezentowała



odmienny typ urody. Chyba jednak wolał tę

wyższą, która była u niego w komendzie. Miała większą klasę. „Ach, gdyby nie ta służba” -

pomyślał z żalem.

- Czy Izabela Borecka jeszcze nie wróciła? -  
spytał.

- Nie dała znaku życia - odpowiedziała Maja. -  
Jesteśmy bardzo niespokojne. Co się z

nią mogło stać? Może wyjechała do Ameryki?

Kozielski potrząsnął głową.

- To raczej wątpliwe. Ten jej ukochany, z którym  
miała wyjechać, został

zamordowany.

- Jezus Maria! Zenon?

- Chyba nie Zenon. Zresztą dochodzenie w toku.  
Jeszcze nic nie wiadomo.

- Biedna Iza - zapłakała Iwona. - Tak się cieszyła,  
taka była szczęśliwa.- Tak, to

smutne - przyznał Kozielski. - Aleja właściwie  
przyszedłem do pań w innej sprawie.

Chciałbym wiedzieć, czy Izabela Borecka nie  
posiadała jakichś szczególnych znaków? Może

jakiś tatuaż albo jakieś znamię.

- Nie miała ani żadnego tatuażu, ani żadnego  
znamienia - powiedziała zdecydowanie

Maja.

- Zaraz... zaraz... chwileczkę - Iwona potarła  
dłonią czoło. - Teraz sobie przypominam,

że kiedyśmy się, tak dla zabawy, razem kąpały, to  
zauważyłam, że Iza ma koło pachwiny taką

ciemną plamkę. Powiedziała, że to od urodzenia takie znamię i że po tym można ją poznać,

jak będzie urzędowała na obozie nudystów. Zawsze lubiła żartować. Pamiętam, żeśmy się

wtedy bardzo śmiały. Mai nie było, bo Maja gdzieś poszła z jakimś znajomym Francuzem.

- To był Włoch - skorygowała Maja. - Ja nie znam żadnych Francuzów.

Iwona roześmiała się.

- Włoch czy Francuz dla mnie wsio równo. Co za różnica.

- Bardzo duża - powiedziała autorytatywnie Maja.

Zgadzało się. Stwierdzono znamię w okolicy pachwiny. Identyfikacja zwłok została

dokonana. Teraz już nie było żadnej wątpliwości. To nie Adelajda Marska została

zamordowana, a Izabela Borecka.

W komendzie Kozielski zastał podekscytowanego Bielaka.

- Wszystko gra - powiedział porucznik. - Bieżniki, odciski butów. Pasuje jak cholera.

Teraz sobie inaczej pogadamy z tym „zbołałym” ojczymem.

- A daktyloskopię przysłali? - spytał Kozielski.-  
Przysłali. Bomba.

Halpert już nie był tak pewny siebie jak podczas pierwszego przesłuchania.

- Czy w dalszym ciągu pan utrzymuje, że to nie pan zabił Harolda Ternera?

- Oczywiście, i to z całą stanowczością.

- No dobrze - Kozielski zaczął stukać długopisem o blat biurka. - Niech mi pan wobec

tego wyjaśni, jak to się stało, że w pobliżu zwłok Harolda Ternera znaleziono ślady pańskich

stóp, a raczej pańskich butów, oraz ślady opon samochodu, który pan wypożyczył.

- To jakieś nieporozumienie.

Kozielski zdecydowanym ruchem potrząsnął głową.

- Nie może być mowy o żadnym nieporozumieniu. Nasz Zakład Kryminalistyki

pracuje z bardzo dużą precyzją. Tu nie ma najmniejszych wątpliwości.

Halpert milczał. Dopiero po dłuższej chwili powiedział:

- Nawet najlepsi fachowcy mogą się mylić. Kozielski machnął ręką.

- Rozumie pan chyba, że w tej sytuacji zmuszony

jestem pana zatrzymać.

- Aresztujecie mnie?!

- A jak pan to sobie wyobraża?

- Chcę się porozumieć z moim adwokatem.

- To pan przyjechał tutaj ze swoim adwokatem?

- Sprowadzę go z Chicago. Przyleci najbliższym samolotem. Stać mnie na to. Nie

pozwolę się tak traktować.

- Sprowadzić adwokata pan może. To panu wolno  
- powiedział spokojnie Kozielski.

Po wyjściu Halperta, Bielak roześmiał się.-  
Zmiękł facet, a zmięknie jeszcze bardziej.

Żaden amerykański adwokat mu nie pomoże.

- To twierdzisz, że odciski palców tego

nieboszczyka pasują do linii papilarnych

znalezionych w wozie Kwiecińskiego i na siodle  
Ady? - powiedział Kozielski.

- Nie ulega żadnej wątpliwości. Zresztą możesz  
sam sprawdzić.

- To znaczy, że Terner wykończył Kwiecińskiego,  
a następnie, prawdopodobnie,  
zamordował tę dziewczynę.

- Na to wychodzi.

Kozielski podrapał się długopisem za uchem.

- To wszystko bardzo pięknie, ale gdzie tu sens. Po  
jakiego czorta ta jakaś koszmarna

mystyfikacja.

- Prawdopodobnie Terner działał w porozumieniu  
z Halpertem - zauważył Bielak.

- Na pewno. I Halpert postanowił się pozbyć niewygodnego współnika. A cała ta

historia chyba się kręci wokół tej podstarzałej miliarderki, która chciała sobie kupić

Kwiecińskiego.

- A on, cwaniak, nie miał zamiaru z nią się żenić. Wykraść jej kompromitujące

dokumenty i wrócił do kraju. Chciał przeprowadzić rozwód z żoną.

- A Halpert wysłał za nim Ternera, żeby ten go wykończył - uzupełnia Kozielski - i

odzyskał te dokumenty. Ternera wprawdzie załatwił Kwiecińskiego, ale dokumentów nie

odzyskał. Wobec tego Halpert umieścił swoją pasierbicę u Grabieckich, żeby ona odnalazła te

papiery, które stawały pod znakiem zapytania



olbrzymią fortunę Morissonowej.

Bielak miał zafrasowaną minę.

- To, co mówisz, jest niby logiczne, ale ciąglejście nie możemy dojść do tego, po

jaką cholere zamordowali tę dziewczynę, a swoją pasierbicę Halpert chciał przemycić do

Stanów z fałszywym paszportem. Kozielski bezradnym ruchem rozłożył ręce.

- Otóż to. To zupełnie fantastyczna i tajemnicza historia.

- A może porozmawiamy z pasierbicą Halperta, który uparcie twierdzi, że jej wcale

nie zna - zaproponował Bielak.

Kozielski skinął głową.

- Dobra. Możemy spróbować.

- Powieście go! Powieście tego łotra, tego mordercę! Powieście go! Mnie na życiu nie

zależy. Mogę iść do więzienia. Dla mnie bez Harolda nie ma życia. Powieście go! Chcę

widzieć, jak go wieszacie. Powieście go!

Kozielski odczekał dłuższą chwilę, aż pierwszy wybuch minął, a następnie powiedział

cichym, łagodnym głosem:

- Proszę się uspokoić. W ten sposób nie możemy rozmawiać. Najprzód chciałbym

panią poinformować, że w naszym kraju nie wieszają się ludzi bez wyroku sądu. A żeby taki

wyrok zapadł, sąd musi mieć wiarygodny materiał dowodowy. Wyroki śmierci, czyli

najwyższy wymiar kary, są u nas rzadkością. W wypadkach bardzo poważnych sąd

przeważnie skazuje na dożywotnie więzienie albo na dwadzieścia pięć lat.

- Jeżeli wy go nie powiesicie, to ja go zabiję. Przysięgam! Zamorduję tego łotra!

Kozielski trzasnął pięścią w stół.

- Proszę się uspokoić. Proszę się natychmiast uspokoić - powiedział stanowczym

głosem. Umilkła i patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami.

- Tego rodzaju historyczne sceny do niczego nie doprowadzą - powiedział po chwili

Kozielski. - Jeżeli pani majakieś konkretne dane, żeby oskarżyć swojego ojczyrna o tę

zbrodnię, to proszę nam to spokojnie i dokładnie opowiedzieć.

Otarła łzy, które napłynęły jej do oczu.

- Dobrze. Wszystko powiem. A potem niech się dzieje, co chce. To on to uknuł. To on

mnie zmusił, żebym pojechała do Grabieckich, żebym znalazła te papiery.

- A jak to było z Kwiecińskim?

- Zakochał się we mnie. Rzucił Morissonową, wykradł jej te jakieś dokumenty i

pojechał do Polski rozwodzić się ze swoją żoną. Chciał się ze mną ożenić. A za te papiery

miał dostać dużo dolarów, bardzo dużo.

- A jaki był pani stosunek do Kwiecińskiego? - Ja kochałam zawsze tylko Harolda,

tylko.

- Ale Kwiecińskiego pani kokietowała. Zawahała się.

- Nooo tak, trochę.

- Żyła pani z nim? Spojrzała na niego zdumiona.

- Dziwne pytanie. To był bardzo przystojny mężczyzna.

Kozielski machnął ręką.

- Zresztą to nieważne. Proszę mi teraz powiedzieć coś o pani ojczymie, o Lucjanie

Halpercie.

- Podły morderca. To wszystko miało być zupełnie inaczej. Okłamał mnie. Mieliśmy

pojechać do Chicago, miałam wziąć ślub z Haroldem. Ten łotr był zazdrosny o Harolda.- Czy

pani żyła ze swoim ojczymem?

- Zmusił mnie. On mnie do wszystkiego zmuszał, do najgorszego. Szantażował mnie.

Groził, że zastrzeli Harolda, jeżeli nie będę mu posłuszna. To zbrodniarz. To dzika bestia w

ludzkim ciele. Musicie go powiesić. Musicie!

- Tych papierów u Grabieckich pani nie znalazła?

- Nie.

- Ale szukała pani?

- Tak, oczywiście. Nie zdążyłam.

- Czy pani wiedziała, że miała zostać zamordowana jakaś dziewczyna zamiast pani?

- To straszne! To potworne! To jakiś koszmarny sen - ukryła twarz w dłoniach i

zaczęła płakać.

Kozielski doszedł do wniosku, że nie ma sensu przedłużać już tego przesłuchania.

Kazał wyprowadzić Adelajdę Marską.

- No i co ty na to wszystko? - spytał, spoglądając na Bielaka.

Porucznik pokręcił głową. Miał bardzo zafrasowaną minę.

- Trochę zaczyna nam się klarować, ale ciągle jeszcze nie wiemy, po jakiego czorta

zorganizowali to skomplikowane i bardzo ryzykowne morderstwo. Nie sądzę, żeby nawet ta dziewczyna wiedziała.

- Podzielim twoje zdanie - przytaknął Kozielski. - Jednakże o morderstwie musiała

wiedzieć, natomiast mogła nie być wtajemniczona, w jakim celu to zrobili.

- Ciągle mi chodzą po głowie te miliardy dolarów

- mruknął Bielak.

- A myślisz, że mnie nie - uśmiechnął się Kozielski.

- Za dużo mniejszą forszę ludzie popełniają zbrodnie. A jeżeli wchodzi w grę miliardy.

Wydaje mi się, że musimy mocniej przycisnąć Halperta. Inaczej tego nie rozgryziemy.

- Bez Halperta i bez wódki nie rozbierzesz - powiedział porucznik.

## **ROZDZIAŁ LX**

Mecenas Tomasz Notecki, wysoki, dystyngowany starszy pan, o bujnej, lekko już

szpakowatej czuprynie i klasycznych rysach twarzy rzymskiego trybuna, robił zawsze takie

wrażenie, jakby pogardzał całym światem.

Nieprzyjemny grymas przyklejony do wąskich

warg stwarzał atmosferę pogardy do wszystkich



otaczających go ludzi i do wszystkich spraw

z nimi związanych. Mimo to cieszył się ogromną popularnością wśród amerykańskiej

finansjery, a o jego względy ubiegali się specjalnie przedstawiciele Polonii amerykańskiej.

Interesował się wyłącznie ludźmi bardzo bogatymi i w tych sferach się obracał. Był

niewątpliwie bardzo zdolnym adwokatem, posiadał błyskotliwą inteligencję, ogromną

erudycję i wrodzony dar przekonywania. Mówił doskonale po polsku, przesadnie nieraz

stylizując poszczególne zdania, co brzmiało nieco pretensjonalnie. Teraz przybrał dość

nonszalancką pozę, pałac papierosa i przyglądając się z ledwie dostrzegalnym, nieco

drwiącym uśmiechem oficerom milicji.

- W czym możemy być panu pomocni? - spytał wreszcie Kozielski, pragnąc przerwać

przedłużające się milczenie.

Notecki zgasił papierosa i strzepnął odrobinę popiołu z idealnie odprasowanych

spodni.

- Poinformowano mnie, że panowie prowadzą dochodzenie w sprawie zamordowania

Adelajdy Marskiej. Kozielski skinął głową.

- Zgadza się. To właśnie my zajmujemy się tą sprawą. Zmuszony jednak jestem

dokonać pewnego sprostowania. Adelajda Marska nie została zamordowana.

- Jak to? - zdumiał się Notecki. - To ona żyje?

- Żyje i cieszy się stosunkowo dobrym zdrowiem.

Oprócz skrajnego wyczerpania

nerwowego.

Notecki zrezygnował ze swojej upozowanej dystynkcji i poruszył się niecierpliwie na

krześle.

- Nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Pan Halpert zawiadomił mnie, że jego

pasierbica została zamordowana. Muszę się z nim natychmiast porozumieć.

- To będzie możliwe, pod warunkiem że prokurator wyrazi swoją zgodę.

- Co to znaczy? - wybuchnął Notecki. - Prokurator ma wyrażać swoją zgodę, żebym ja

się zobaczył z panem Halpertem? Co tu się dzieje?

- Pan Halpert przebywa obecnie w tymczasowym

areszcie. Jest podejrzany o

popęłnienie morderstwa - powiedział spokojnie Kozielski.

Notecki zerwał się z krzesła.

- Halpert mordercą?! Ależ to niesłychane.

- Są po temu bardzo poważne poszlaki. W przeciwnym razie prokurator nie wydałby

nakazu aresztowania.

Notecki zaczął chodzić po pokoju.

- Nieprawdopodobne. Niesłychane - powtarzał, pocierając dłonią czoło.

- Może pan usiądzie, panie mecenasie - zaproponował Kozielski - porozmawiamy

spokojnie. - A gdy Notecki wrócił na swoje krzesło, spytał: - Czy pan jest radcą prawnym

firmy pana Halperta?- Nie. Ja reprezentuję interesy rodziny Morissonów i przyjechałem tu

jako egzekutor testamentu pani Laury Morissonowej.

- To dlaczego interesuje się pan losem pana Halperta?

- Dlatego, że ten testament został sporządzony na jego korzyść. Dziedziczy cały ten

olbrzymi majątek. Pod jednym wszakże warunkiem.

- Można wiedzieć pod jakim warunkiem?

- Oczywiście. To nie żadna tajemnica. Pan Halpert wchodzi w posiadanie tych

wszystkich fabryk, nieruchomości, posiadłości ziemskich i kont bankowych dopiero po

śmierci pasierbicy, Adelajdy Marskiej. Przyznaję,

że to trochę dziwaczna klauzula, ale

ostatecznie każdy może w dowolny sposób dysponować swoim majątkiem.

Kozielski z trudem opanowywał podniecenie.

- I Halpert zawiadomił pana o śmierci swojej pasierbicy.

- Tak. Dlatego właśnie przyjechałem, ponieważ, ze zrozumiałych względów, dalsza

rodzina Morissonów bardzo się interesuje, czy Adelajda Marska rzeczywiście postradała

życie i czy nie ma co do tego żadnych wątpliwości.

- Okazuje się, że istnieją zasadnicze wątpliwości - uśmiechnął się Kozielski. -

Adelajda Marska żyje. A swoją drogą, w jakim celu ktoś mógł sporządzić tego rodzaju

testament?

Notecki rozłożył ręce.

- Trudno zgadnąć. To rzeczywiście niesamowita sprawa. Można by przypuszczać

zemstę. Ale ja nie lubię przypuszczać. Mam zwyczaj opierać się na konkretnych faktach.

Zaskoczył mnie pan tym zaarrestowaniem Halperta. Chyba jednak porozumiem się z prokuratorem.

- Jak pan sobie życzy.

- Wobec tego ja już panów pożegnam. Notecki chciał wstać, ale Kozielski zatrzymał go ruchem ręki.

- Jeszcze chwileczkę. Chciałbym pana powiadomić, że jesteśmy w posiadaniu

kompromitujących dokumentów, które pod ogromnym znakiem zapytania stawiają tę

ogromną fortunę Morissonów, która najprawdopodobniej przejdzie na własność państwa.

Notecki zeszywniał.

- O jakich dokumentach pan mówi?

- O tych, które niejaki Adam Kwieciński wykradł pani Morissonowej podczas

swojego pobytu w Stanach.

- Ile?

- Co ile? - spytał Kozielski.

- Ile chcecie za oddanie mi tych dokumentów? Proponuję milion dolarów.

Kozielski pochylił się nad biurkiem.



- Czy pan się orientuje, panie mecenasie, że u nas nawet próba przekupstwa urzędnika

państwowego jest karalna?

- To nie jest próba przekupstwa - obruszył się Notecki. - To jest zwykła handlowa

propozycja. Przecież oddając mi te dokumenty, nie naraża pan na żadne straty skarbu Polski

Ludowej. Nie działa pan na szkodę swojego państwa.

Kozielski zmarszczył brwi i utkwiał zimne spojrzenie w twarzy mówiącego.

- Radzę panu nie przeciągać rozmowy na ten temat, jeżeli pan nie chce, żebym

natychmiast zatelefonował do prokuratora. A ze swoimi milionami niech się pan zwróci do

Ambasady Stanów Zjednoczonych, bo zapewne

tam moje władze zwierzchnie przekazały te dokumenty. Żegnam pana, panie mecenasie.

Notecki wstał, obciągnął marynarkę, skłonił się sztywno i wyszedł bez słowa.

Bielak podrapał się za uchem i wyjął z kieszeni papierosy.

- Milion dolarów to jednak kawał grosza. Ale swoją drogą ma gość tupet.

- Cóż chcesz? - Kozielski wzruszył ramionami. - U nich to normalne. Wystarczy

obejrzeć sobie kilka filmów amerykańskich. Ale my w tej chwili przestańmy się ekscytować

milionami pani Morissonowej i postarajmy się zakończyć naszą sprawę. Bo chyba wszystko

już jest jasne.

- Na to wygląda - przyznał Bielak.

Kozielski sięgnął do szuflady po notatnik, a z kieszeni wyjął długopis.

- Może spróbujemy to zebrać do kupy - zaproponował. - Następnie wspólnymi siłami

opracujemy tę makabryczną historię. A więc tak...  
Była multimiliarderka, nie pierwszej już

młodości, która sobie, w miarę możliwości, urozmaicała życie. Można przypuszczać, że

początkowo przez jakiś czas jej kochankiem był Halpert, którego odstawiła, biorąc sobie dużo

młodsze i atrakcyjniejsze Adama Kwiecińskiego. Ten jednak zakochał się do szaleństwa

w pasierbicy Halperta i postanowił się z nią ożenić. Rzucił więc Morissonową, wykradając jej

te kompromitujące dokumenty. Chciał szantażem uzyskać dużo dolarów, żeby urządzić sobie

wygodne życie z Adelajdą Marską. Nieopatrznie jednak zwierzył się dziewczynie z tych

swoich planów, a ta opowiedziała o tej historii swemu kochankowi Haroldowi Ternerowi,

który doszedł do wniosku, że nadarza mu się znakomita okazja, i postanowił zlikwidować

Kwiecińskiego i samemu wejść w posiadanie tych dokumentów. Przyszła jednak refleksja.

Zlikwidować Kwiecińskiego nie żadna sztuka, ale jak dobrać się do dokumentów? I wtedy

wpadli na pomysł, że najlepiej załatwi to Ada. Porozumieli się z Halpertem, który

wykombinował, że umieści pasierbicę u Grabieckich, teściów Kwiecińskiego. Słusznie

przypuszczając, że Kwieciński w ich domu ukrył te dokumenty. Jednocześnie wyniknęła

nowa sprawa, a mianowicie sprawa owej niesamowitej klauzuli w testamencie Morissonowej.

Bielak z powątpiewaniem pokręcił głową.

- Wjaki sposób Halpert mógł znać treść testamentu?

- To proste. Morissonowa upoważniła swojego radcę prawnego, żeby powiadomił

Halperta o tej klauzuli. Chciała się zemścić. Była przekonana, że Adelajda Marska odbiła jej

Kwiecińskiego na polecenie Halperta.

- Ale jeżeli Halpert był zakochany w swojej pasierbicy?

Kozielski machnął ręką.

- W tych sferach takie drobne epizody nie mają znaczenia. A Kwieciński był tylko

epizodem. Być może, że nawet Ada z nim nie żyła, odkładając te sprawy do ewentualnego

ślubu. Jedźmy dalej. Po śmierci Morissonowej Halpert wpadł na szatański pomysł, żeby

zamordować jakąś dziewczynę, pozorując, że została zamordowana jego pasierbica i w ten

sposób wejść w posiadanie olbrzymiej fortuny Morissonów, nie tracąc dziewczyny, za którą

szalał. W tym celu postanowił posłużyć się Haroldem Turnerem, którego pozornie dopuścił

do spółki, obiecując mu udział w majątku Morissonów oraz rękę swojej pasierbicy. Plan

został dokładnie przemyślany. Turner miał wykończyć Kwiecińskiego oraz znaleźć

dziewczynę podobną do Ady, a następnie zamordować ją, fingując, że to pasierbica Halperta została zabita przez jakiegoś zbrojnika.

- To znaczy, że Adelajda musiała być wtajemniczona w ten plan - powiedział Bielak.

- Przepuszczalnie tak, a przynajmniej częściowo. Być może, że nie wiedziała, że

dojdzie aż do morderstwa. Trudno zgadnąć. Terner wywiązał się ze swojego zadania. Załatwił

Kwiecińskiego, znalazł dziewczynę mogącą uchodzić za pasierbicę Halperta, zawiózł ją do

lasu, tam ją zabił i zmasakrował twarz kamieniem. Nieopatrznie jednak pozostawił odciski

palców i na kamieniu, i na siodle, pomagając Adzie zejść z konia. Nie przewidział również, że

Halpert nie ma zamiaru ani dzielić się z nim

spadkiem, ani oddać mu dziewczyny. Fałszywe

paszporty były już przygotowane, opatrzone fałszywymi wizami. Trzeba przyznać, że świetna

robotą. Chyba tak to wszystko w ogólnym zarysie wyglądało.

- Wydaje mi się, że dość klarownie zreferowałeś tę ponurą historię - przyznał Bielak. -

Teraz tylko wystarczy zatytułować sprawę i cześć. Może by na przykład Koszmarny

testament}

Kozielski potrząsnął głową.- Nie, nie. To zbyt pretensjonalne.

Bielak poruszył się na krześle i zapalił papierosa.

- Słuchaj... W tym całym zamieszaniu zupełnie straciliśmy z oczu tego chłopaka z



Wołomina. Jak byś się na to zapatrywał, żeby na tych naszych aktach napisać drukowanymi

literami: Goryl z Wołomina}

Roześmieli się.